

**ELIZA
ORZESZKOWA**

CNOTLIWI

Eliza Orzeszkowa

Cnotliwi

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Cnotliwi / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Opowieść jakby filmowa. W niewielkim miasteczku splatają się ludzkie losy. Wszyscy bacznie obserwują się nawzajem, tropiąc wszelkie możliwe i niemożliwe skandaliki. August ma znacznie starszą od siebie żonę, którą przewlekła choroba na zawsze już przykuła do łóżka. Zazdrosna i zaborcza usiłuje wszelkimi metodami przywiązać do siebie męża. Ten jednak męczy się w domu, a świat wydaje mu się pełen atrakcyjnych alternatyw dla jego obecnej sytuacji. Zwłaszcza że serce nie służy. Książka warta polecenia także z powodu ogromnie sugestywnych i zwyczajnie uroczych opisów małomiasteczkowego życia. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie problemów społecznych - w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

Содержание

I	6
II	9
III	11
IV	15
V	17
VI	24
VII	30
VIII	34
IX	36
X	41
Конец ознакомительного фрагмента.	44

Eliza Orzeszkowa Cnotliwi

*„Nie widziałem na świecie obrzydliwszej złości,
Jak malowany pozór świętej gorliwości,
Którego szarlatani chętnie używają;
Z którym zwykle na pokaz cnotliwi igrają,
Aby stoniąc nim kłamstwo swych ról wyuczonych,
Nadużywać imienia rzeczy uświęconych.
Ci ludzie pełni chciwej i grzesznej ochoty,
Rzemiosło albo towar czynią sobie z cnoty,
Zdobывая zaszczoty, wiarę, poważanie,
Przez udane zapasy i ócz przewracanie.
Ci ludzie, którzy biegną z gorliwością rzadką,
Ku własnej swej korzyści drogą niebios gładką;
Umieją swe występki godzić z pobożnością.
Grzeszą sami mściwością, złością, nieprawością,
A na zgubę bliźniego gotowi zuchwale
Ciskać gromy zatrute w żarliwym zapale.
Tem więcej niebezpieczni ile w przewrotności
Postępują się bronią cnoty, pobożności,
I w świętem uniesieniu ogólnie chwalonem,
Mordują bliźnich swoich ostrzem poświęconem.”*

(Mollière, z komedji Świętoszek).

I

Nad pewną piękną i wielką rzeką stoi pewne miasto, nie bardzo wielkie i nie bardzo małe, nie bardzo piękne i nie bardzo brzydkie. Ulice posiada dość szerokie i czyste, ale zaopatrzone brukiem, który każe przechodniom koniecznie zapominać o niebie; bo biada temu kto po nim stąpając, choć na chwilę wzrok swój od ziemi oderwał! Chodniki są tam także; ale różnią się tem od wszelkich innych chodników tego świata, że oprócz do chodzenia służą też do skakania, przedstawiając nieprzejrany ciąg wzgórz, dolin, wąwozów i strumieni.

Na tych ulicach i na tych chodnikach, roi się trzydziesto tysięczna z górą ludność, z której przynajmniej połowa chwali Boga Abrahamów i Izaaków, i każdego piątkowego wieczoru, illuminuje okna swych mieszkań łójówkami. Druga połowa publiczności bardzo przyzwoity przedstawia widok, mianowicie w dni świąteczne, w godzinach ogólnego pochodu do kościołów; albo w dni pogodne, o uświęconej przechadzkowej dobie. W owych porach ogólnego na mieście ruchu, zobaczyć tam można i piękne powozy i liberjowanych lokajów; jedwabne suknie i najmodniejsze jakie być mogą kapelusze, beduiny i paletoty, bonzurki i marynarki; twarzyczki kobiece białe i delikatne, wąsiki męskie zaostrzane à la Napoleon i t. d. Oprócz tego, w dniu powszednie, panuje tam ciągły a znaczny ruch interesów majątkowych, handlowych i przemysłowych; wizyt, wesel, chrzcin, pogrzebów; miłości, niechęci, intryzek, plotek, biedowania, radowania się, oczekiwania – wszystkich słowem ingrediencji składających tę mieszaninę, która stanowi zwykle wrzący, huczący, płaczący ze śmiechem i śmiejący się wśród płaczu – żywot nagromadzonej w jedno miejsce ludności.

Jak w każdym podobnej wielkości mieście, są tam rynki pełne wrzawy z rana a śmiecia wieczorem; parę ogrodów publicznych, z których większy posiada dwieście kroków długości a sto szerokości; kilka kościołów, z których jeden wielki i piękny; kilkanaście sklepów, a kilkadziesiąt sklepików, i nareszcie wiele dwu i trzypiętrowych kamienic, pomalowanych wszelkimi możebnymi barwami, a więcej jeszcze skromnych domków z przedpotopowemi facjatkami, lub chałup stojących na kurzych łapach, ze ścianami zabierającemi się do spoczynku, i szybami pozaklejanemi brudną bibułą. Wiosną i latem, niekiedy nawet i zimą, jeśli mróz nie dochodzi zbyt kaleczących uszy i oczy rozmiarów, na chodnikach ulic, o zmroku, Izrael rozpoczyna czynności swego publicznego życia. Wszędzie gdzie stąpisz, odbywają się umowy, narady, dysputy, których treść odgadujęm po gestach rąk wysuwających się z hałatów i z wyrazu fizjonomij, na których długie przyzwyczajenie do rachuby, wyrzyło wielkimi cyframi, cztery działania arytmetyczne. Przed bramy domostw wynoszą się ławeczki, a na nich po zamknięciu swych sklepików zasiadają żydówki kramarki, robiąc w ciemności na pamięć czarne i szafirowe pończochy, gwarząc między sobą o zyskach dnia upłynionego, i grożąc dzieciakom które bawiąc się obok nich w wąwozach i strumieniach chodnika, wrzeszczą w niebogłoty.

Środkiem ulicy przemyka niekiedy elegancki powóz, dwie lub trzy dorożki zaturkoczą jednocześnie, jękliwa szarmancka zawiedzie pod jakim oknem arję z Trubadura, z wieży kościelnej rozbrzmi głos dzwonu do wieczornej wzywającego modlitwy, wesoły przechodzień zagwizdże arjetkę i laseczką o kamienie uderzy, pałasz zgrzytnie po bruku, parę sukien kobiecych zabieleje.

Potem nadchodzi noc, rozchodzą się Izraelskie grupy, ucicha wrzawa żydzą, wieże kościelne milkną w sennej ciszy, zamykają się bramy i okiennice domostw, gasną światła w oknach i latarnie na ulicach; sen i ciemność zalegają miasto.

Tu i owdzie jednak długo, długo jeszcze w noc, na wysokiem piętrze zamglonem światłem błyska okno. Co się poza oknem tem dzieje? co oświeca to mgliste światło nocne? Czy ze schylonem młodem czołem, czuwa tam nad rozwartą księgą żądny wiedzy młodzieniec? Czy ubogi pracownik nocne godziny spędza wśród trudu, aby mieć czem zaspokoić jutrzejszy głód swych dzieci? Albo może przy zielonym stole siedzą gracze z kartami w drżących dłoniach, ze wzrokiem pałającym od trunku i namiętności? Tu, na tle blade oświetlonego okna, w powłoczystych festonach rysuje

się firanka bogata. Zapewne to wytworny gabinet świetnej i bogatej a jednak nieszczęśliwej pani, której serdeczna jaka tęsknota, sen z powiek spędza. Siedzi może ona, wśród ciszy nocnej, na miękko usłanem siedzeniu; wielkie zwierciadło odbija strojną i piękną jej postać, ale ona nań nie spogląda, bo źrenice jej, mgłą żałości zasłże; lży moczą batystową chustkę i serce boleśnie uderza pod koronką i jedwabiem.

Tam znowu widzisz po za oświetloną szybą parę wazonów kwitnących, i miękkie gałązki bluszczu wijące się, po ramach okna. Za oknem tem, w skromnym cichym pokoju, przy świetle bladawej lampy, siedzi może szczęśliwa para narzeczonych dwojga, lub małżonków młodych, i gwarzy z sobą serdecznie, długo. Godziny upływają, noc ma się już ku końcowi, a oni jeszcze dość się nagadać nie mogą; bo jedno drugiemu przez oczy i usta chciałoby całe serce, całą duszę swą wypowiedzieć, a na to czasu zamało, zawsze zamało mają.

Gdzieindziej jeszcze migoce coś po za szybą, zda się ręka kobieca, pilna, pracowita, zapewne w igłę zbrojna. To szwaczka jakaś uboga; kończy szycie kosztownej sukni, biegłym jej powierzonej ręką. Późno już, a ona szyje ciągle, szyje z zapalem, a na ustach jej uśmiech igra i na czole osiadł spokój cichy, bo praca jej ulży trudu ukochanemu mężczyźnie, który życia jej towarzyszem jest drogim, i da nową, śliczną sukienkę dziecięciu małemu, co teraz śpi obok niej słodkim snem aniołów. Być może, iż uboga szwaczka ze szczęściem w sercu szyje w nocnych godzinach strój kosztowny dla bogatej pani, która w tej samej porze czuwa także, ale tęskni i płacze.

Jedno wśród nocy oświetlone okno, zda się rzecz drobna, a ileż powiedzieć może, ile zadać zagadnień! Nie uważasz, nie patrzysz na nie, przechodzisz mimo, a nie wiesz żeś minął dramat albo sielanekę, miejsce występku lub siedlisko wytrwałej cnoty, świątynię szczęścia lub żałości bezdnie. Te okna pojedyncze wśród nocnej migocącej doby, to oczy, przez które patrzą rozpacz i rozkosze, nałogi występnych i wspaniałe myśli mędrców, nadzieje, prace, trwogi, smutki, marzenia i poezje ludzkich żywotów.

Mieszkańcy miasta znają po imieniu te wszystkie okna, i ciekawemu, pytającemu, powiedzieć mogą: oto okno uczonego, rzemieślnika, gracza, studenta, nieszczęśliwej pani, szczęśliwej szwaczki, tylko co przyszedł na świat istoty i człowieka który tej nocy świat ten opuszcza. Patrzysz na te nocne oczy miasta i w długiej zadumie snujesz myślą różne historie istnień człowieczych...

Powoli jednak, stopniowo gasną światła te jedno po drugim; a natomiast kraniec horyzontu poczyna barwić się pierwszemi dnia brzaskami. Niby strojna pani w zwierciadle, słońce wstępując na niebo, przegląda się naprzód w szerokiej wstędze rzeki, srebrne jej fale zasnuwa barwą błękitu, a w głębie wód rzuca myrjady drgających, migocących złocistych iskier. Niby wywołane z toni czarodziejską mocą światła, wnet na powierzchni ukazują się drobne łódki rybackie, i hyżo mkną po spokojnych falach; wiosła wesoło pluskają w wodzie, a niekiedy prosta piosenka rybaka rozbrzmi w cichem jeszcze powietrzu rannem i zmilknie wkrótce wśród wysokich i skalistych wybrzeży.

Potem wieże kościelne budzą się pod obłokami; krzyże błyskają u ich szczytów słońcem ozłocone, a pod krzyżem, dzwony brzmią srebrzysto przeciągle. Za miastem i za rzeką drogi szerokie napełniają się jadącymi i idącymi ku miastu ludźmi, rozświecają się pobliskie wzgórza obsiane zbożem lub obrosłe sosnowymi borami. Latem odzywa się na łąkach wołanie oraczy, lub gwar nadchodzących żniwiarzy; zimą, szerokie płachty śniegowe świecą czystą bielą, a na sosnowych borach szron błyszczą połyskami brylantów, i cyple lodu niby kryształowe smugi wieszają się po gałęziach.

Na ulicach z wejściem dnia nowego robi się znowu gwarno i ludno. Krzyczą Izraelici, turkoczą powozy, brzmią śpiewem kapłanów kościoły. Budzą się matki przy kolebkach dzieci, do pracy biorą się wyrobnicy; uboga szwaczka ze szczęściem w sercu, odnosi bogatej pani strój ukończony wśród bezsennej nocy, a bogata pani, po bezsennej nocy, także z uśmiechem na ustach a smutkiem w piersi, wyjeżdża kareta do kościoła, aby poskarżyć się przed Bogiem na swą ozłoconą niedolę.

I znowu między ścianami domostw wre, kipi, boli i śmieje się życie trzydziestu tysięcy ludzi.

Taką jest zewnętrzna i wewnętrzna postać miasta, którego nazwanie każdy mniej więcej oświecony mieszkaniec kraju znać musi, i z łatwością znaleźć może na jeograficznej karcie – ale które w jeografji powieściowej, dla różnych a różnych przyczyn, oznacza się nic nie mówiącą literą X.

II

W mieście tedy X., w porządnym mieszkaniu o czterech pokojach, położonem na dolnem piętrze jednej z większych kamienic, zapadał zmrok dnia wiosennego, i mimo że na świecie było bardzo ciepło i pogodnie, w dość dużym bawialnym pokoju palił się na kominku ogień.

Przed ogniem, na wpół leżała w głębokim fotelu kobieta, a profil twarzy jej ostro rysował się na czerwonawem tle płomienia. Była to twarz chuda i żółta, o rysach spiczastych, mocno wystających kościach policzkowych, o oczach wklęsłych i bez połysku, patrzących z pod brwi czarnych i energicznie zarysowanych. Nad pomarszczonem czołem, gładko zaczesane pasma czarnych włosów wydobywały się z pod białego czepka, szeroką oszytego listwą; wążkie, i blade usta zwarte były z wyrazem cierpienia i jakby ciągłego, głucho wrzącego wewnątrz gniewu. Ubrana była w czarną wełnianą bluzę z szerokim kołnierzem z białego płótna, który zmięty i niedbale opadający, ukazywał szyję żółtą, wyschłą i pomarszczoną. Z pod takichże płóciennych szerokich mankietów, wysuwały się wyschłe białe ręce, o wydatnych błękitnych żyłach i długich chudych palcach, z których na jednym błyszczała przed ogniem złota ślubna obrączka.

Było w kobiecie tej coś niewymownie a podwójnie – bo fizycznie i moralnie cierpiącego. Nogi jej wystawione na działanie płomieni, i aż do kolan owinięte w grubą czarną flanelę, spoczywały na wysoko usłanych poduszkach; dość było spojrzeć na ich bezwładną sztywność, aby odgadnąć iż były sparaliżowane. Choroby długie, smac bolesne a różne, tak pomarszczyły, zmięły i żółciły rysy twarzy, że trudno było wyczytać z niej wiek kobiety; nie musiała być jednak starą, bo włosy miała jeszcze zupełnie czarne. Kierując się najbliższem przypuszczeniem, można było dać jej lat czterdzieści. Przypatrzwszy się bliżej, można też było poznać, że była ona niegdyś piękną. Wzrost musiała mieć wysoki, oczy wielkie i czarne, usta małe, czoło wysokie. Teraz zaledwie widzialne ślady te dawnej piękności, migotały kiedy niekiedy przed okiem patrzącego, z poza bolesnej zasłony, jaką na nie rzuciły nie tyle lata, ile choroby i burze wewnętrzne.

W ostrym wyrazie zapadłych oczu, a surowem i nieco szyderczem zagięciu ust bladych, w niecierpliwym ruchu palców chudych, machinalnie szarpiących szorstką materję sukni; znać było gwałtowny bunt w chorem ciele chorego ducha; znać było, że wszelka słodycz uciekła z serca tej nieszczęśliwej kobiety, wygnana żalem za młodością, pięknnością i zdrowiem. Potem, i sam żal ten przepalił się w zbolątej piersi na gorycz pełną żółci i niechęci, na ciągle głuche i niepohamowane rozdrażnienie.

Wszystko co otaczało tę smutną postać, było również dziwnem jakimś osmuceniem nacechowane. Sprzęty nie wykwentne wprawdzie, lecz porządne i gustowne, mogłyby pięknie ubierać mieszkanie; ale stały sztywne, niczyją nigdy ręką nieporuszone, miejscami kurzem pokryte. Nigdzie żadnej ozdóbki, żadnego kwiatka; nic miękkiego, nic mówiącego do serca lub umysłu. Cóż konwencjonalnego i urzędowego było w białych firankach z haftowanego muślinu, wiszących u okien, i w lampie, która sama jedna stała przed kanapą na stole nagim. Krzesła pod ścianami stały martwo ociążnione białem płótnem, niby w śmiertelne ubrane koszule. Pomimo majowej pogody okna szczelnie zamknięte i zaklejone były, a w pokoju powietrze nie odświeżone ożywczym prądem, tchnęło stęchlizną i kurzem. Jedynym przedmiotem posiadającym tu nieco życia i poezji, było piękne palisandrowe pianino otwarte, z rozłożonym na pulpicie marszem żałobnym Szopena. W istocie, ktokolwiek grywał na tym instrumencie obok tego żółtego skieletu kobiety, w tym pokoju podobnym do grobu, nie mógł zeń innych, jak żałobne wydobywać tony.

Za oknami na ulicy roiła się ludność ruchem wzmożonem piękną pogodą, i żwawo partemi do końca sprawami znikającego dnia. Chodnikiem szły wracające z przechadzki pary, prowadząc się pod ręce i gwarząc wesoło; różnobarwne kapelusiki kobiet, strojne w pióra i kwiaty, i zgrabne czapeczki młodych mężczyzn co chwilę migotały za szybami. Kiedy niekiedy zabrzmiał tuż za oknem srebrzysty, przyzwoitością powstrzymany śmiech młodzieutkich jakichś ust kobiecych albo zniżonym

głosem wymówione, a pełne miłośnego znaczenia słowo jakiegoś rozkochanego w towarzyszce przechadzki, mężczyzny, wniknęło z za szyby w głąb mieszkania. To znowu z głuchym turkotem i brzękiem uprząży przeleciał środkiem ulicy piękny powóz pełen wesołych pań i panów; to parę doróżek przemknęło szybko; to znów gdy turkot ucichł cokolwiek, dochodził zdala głos **szarmancki** zapamiętałe wygrywającej skoczne polki, albo ktoś zagwizdał wesołą piosenkę, albo grupa Izraelitów zatrzymała się na chodniku, i zaszwargotała o dziennych zarobkach.

Cały ten gwar uliczny, wszystkie te odgłosy zabawy, miłości, ruchu i interesów, pełną przejmującego smutku sprzecznością obijały się o ściany cichego i zamkniętego szczelnie mieszkania sparaliżowanej kobiety. Sam nawet ogień na kominku, zwolna i blade płonąc, zdawał się wstydzić świetności majowego wieczoru, który miliony gwiazd zaczynał rozrzucać po szafirowym niebie, i ogarniał miasto ciepłym tchnieniem zstępującej letniej nocy.

Chora kobieta nie zważała na to co się za oknami działo. Zagastył wzrokiem wpatrywała się w płomień; chude jej palce mięły bezustannie wełnianą materję sukni, a zwarte i wąskie usta poruszały się kiedy niekiedy niedosłyszalnym, ale wyraźnie gorzkim, niecierpliwym szeptem.

W końcu podniosła opuszczoną na pierś głowę, z trudnością poprawiła się na fotelu, i słabym głosem zawołała:

– Tekło! Tekło!

Na wołanie to z drugiego pokoju wbiegła służąca. Chora kobieta z trudnością twarz do niej zwróciła.

– Pójdź, zobacz przez okno czy mąż mój wraca?

W głosie jej była przeciągłość zwyczajna u fizycznie cierpiących ludzi, ale zarazem cierpkość i ostrość tonów.

Służa podeszła do okna, popatrzyła przez szyby, i rzekła.

– Nie widać!

Chora poruszyła się niecierpliwie, usta jej zacięły się silniej jeszcze, a drżące palce zaczęły niecierpliwiej miąć i szarpać suknię.

Upłynął kwadrans; ogień na kominku zagasać począł, zmrok coraz gęstszy panował w pokoju.

– Tekło! Tekło! zawołała znowu siedząca u komina kobieta. – Pójdź, zobacz przez okno czy mąż mój wraca? rzekła do wchodzącej sługi.

Służa spojrzała przez szyby i znowu odpowiedziała.

– Nie widać!

Tym razem chora rzuciła się na fotelu tak gwałtownie, jak tylko pozwalały jej na to bezwładne nogi.

W pokoju ciemno już było zupełnie.

Służąca rozświeciła w pokoju, i dołożyła drewek na kominek, które buchnęły żywym płomieniem. Uczyniwszy to miała odejść; ale zatrzymała ją niecierpliwym gestem chora.

– Idź przed bramę, i zobacz czy mąż mój wraca – wyrzekła z trudem.

Służa wyszła, a po kilku minutach wróciła i przechodząc przez pokój rzekła:

– Mąż pani wraca.

Na te słowa drżące palce chorej przestały szarpać suknię, podniosły się w górę, i z chorobliwym pośpiechem zaczęły poprawiać szeroką listwę czepka, i przyglądać pasma włosów nad czołem. Potem przesunęły się po fałdach bluzy, układając je z całą możebną symetrią, i odwinęły starannie mankiety rękawów. Przy tych czynnościach żywo błyskała na palcu złota obrączka ślubna, zapadłe, zagasłe oczy nieszczęśliwej, błysnęły.

III

Ktoby po wyrzeczonych do tej czterdziestoletniej i schorowanej kobiety słowach: „Mąż pani wraca”, spodziewał się ujrzeć podobnego do niej wiekiem i powierzchownością mężczyznę, zdziwiłby się niesłychanie na widok wchodzącego.

Zdawało się że razem z nim do pośepnego pokoju wpłynęła struga młodości i życia.

Wyglądał na lat najwięcej trzydzieści; gęste ciemne włosy mnóstwem pierścieni otaczały kształtne czoło, ciemne wielkie oczy ciskały iskry z pod długich rzęsów. Wzrost miał średni, cerę gorącej, śniadej bladości, profil twarzy o regularnych grekich zarysach. Pod ręką niósł dużą tekę pełną papierów.

Zaledwo drzwi zamknęły się za wchodzącym, chora kobieta wyprostowała na fotelu leżącą dotąd postać, chorobliwe rumieńce wystąpiły na jej żółte policzki.

– A przecież, przecież wracasz, Auguste! zawołała cierpko; sądziłam że dziś nie będę już miała honoru widzenia pana!

Mężczyzna położył tekę na stole, i siadając odrzekł spokojnie:

– Wróciłem dziś później niż zwykle, bo miałem w biurze pilną pracę, której nawet część nie skończoną przyniosłem do domu, aby ją w nocy ukończyć.

Kobieta zaśmiała się głośno, ostro.

– Praca! praca! – zawołała, to tylko wymówka, aby w domu nie siedzieć, aby mnie widzieć jak najmniej! Zapewne znalazłeś za domem miłsze jakie od mego towarzystwo, w którym ci czas przyjemnie upływa! Co? mówże! nie żenuj się! – męcz mię, morduj, zabijaj do reszty!

Głos jej drżał i chryplł coraz bardziej, zapadłe oczy błyskały i palce szarpały suknię.

Po ustach młodego mężczyzny smutny przebiegł uśmiech, ale wzrok jego głęboki i łagodny spokojnie utkwiał w rozognionej twarzy kobiety.

– Anastazjo! – wyrzekł z wielkim spokojem, znowu dziś rozdrażnioną jesteś! – uspokój się, bo bardziej cierpieć będziesz!

Cierpieć! cierpieć! krzyknęła kobieta; alboż mogą być większe cierpienia jak moje? alboż mogą być większe męki jak te, które ponoszę siedząc tu u komina, niedołączna i sama jedna, wtedy, gdy ty przecież chodzisz po świecie i spotykasz je, wszystkie strojniesz te i zalotnice, co to rade temu, że młode i nieszpętne, chciałyby wszystkich mężczyzn pociągnąć za ogonami swoich przebrzydłych sukien! Wieleś ich dziś widział, tych maseczek? – bardzo patrzyły na ciebie? cóż? – mówię nie żenuj się!

Zaśmiała się znowu przykrym śmiechem. August nie odpowiadał, czoło na dłoń pochylił, i zamyślane oczy utkwiał w przestrzeń. Anastazja wpatrywała się w niego rozognionym wzrokiem, i nowym miała wybuchnąć wyrzutem, gdy służąca wniosła przyrządy do herbaty, i postawiła je na stole przed kanapą.

– Jak tu duszno! rzekł budząc się z zamyślenia mężczyzna, i zbliżył się ku oknu. – Anastazjo, czy pozwolisz otworzyć lufcik, aby wpuścić nieco świeżego powietrza?

– Nie otwieraj! krzyknęła kobieta czyniąc gwałtowny gest obiema rękami – zawieje mię, będę kaszlać! Ty wiesz że powietrze mi szkodzi, i dla tego chcesz okno otwierać. Zapewne! miłoby ci było abym już raz umarła! Byłbyś młodym wdowcem! zrobiłbyś świetną partję! Pewno! pewno! chce się panu mieć młodą zoneczkę, zdrową i ładną, a postarzała od choroby i niedołączna niech sobie idzie *ad patres*, byle prędzej! Otwieraj lufcik! otwieraj! niech umrę! niech ci z drogi ustąpię i losu nie zawiążuję! Może nawet całe okno otworzysz – byle prędzej zabić mnie i pozbyć się niepotrzebnego grata!

Mężczyzna słuchał tego potoku wyrazów z rękami założonemi na piersi. Zrazu brwi jego zsunęły się niecierpliwie i wargi zadrżały; ale w mgnieniu oka był znów spokojny jak wprzód.

Gdy Anastazja przestała mówić, przeszedł z wolna pokój, zbliżył się do zastawionego stołu, i zapytał całkiem spokojnym głosem:

– Czy chcesz abym ci nalał herbaty?

– A zdaje mi się! – zawołała ciągle wzburzona kobieta; czy może już nawet i szklanki herbaty żałujesz dla mnie? Masz słuszność! wszak żyję z twojej pracy, i nic ci nie wniosłam w dom oprócz choroby! Ale nie lękaj się! nie długo już będę korzystać z twojej wspaniałomyślności; ustąpię miejsca drugiej, która będzie miała zdrowe ręce do nalewania herbaty i tobie i sobie.

August i tym razem nic nie odpowiedział, ale wargi jego silniej niż wprzód zadrżały i zbladły. Ze spokojem jednak i cierpliwością niezmaconą przystawił do fotelu Marji niewielki stoliczek, i umieścił na nim nalaną szklankę herbaty. Chora popatrzyła na nią.

– Cóż to? zawołała, nalałeś mi czystej wody! wiesz że nie lubię lekkiej herbaty – ale odgadłam że mi jej żałujesz!

August wziął szklankę, i dolał herbatniego odwaru.

– A teraz dajesz mi czarną jak atrament! rzekła kobieta, usuwając podawaną sobie szklankę; chcesz mię w suchoty wpędzić! zapewne, od suchot prędzej umiera się niż od paraliżu!

Tym razem ciemne oczy Augusta cisnęły iskrami. Nic jednak nie powiedział, tylko zawołał służącej.

– Nalej dla pani herbaty – i zaczął milcząc przechadzać się po pokoju.

I Anastazja umilkła – wodząc za nim oczami w których najrozmaitsze drgały wzruszenia gniewu, goryczy, żalości.

– O czymże tak myślisz? czemu nie mówisz do mnie? – spytała po chwili z szyderstwem.

August przeciągnął rękę po czole.

– Zmęczony jestem, Anastazjo, wyrzekł powoli; miałem dziś wiele pracy i zmartwienia.

– Zmartwienia? zawołała kobieta; cóż to? czy nie sercowe jakie nieszczęścia spotykają pana?

Znowu gorzki uśmiech przebiegł usta mężczyzny.

– Nie, odpowiedział spokojnie; miałem dziś zajście z naczelnikiem bióra, który wymagał odemnie czegoś niezgodnego z honorem moim.

Anastazja żywo obróciła się ku niemu.

– I cóż? może przez zajście to stracisz miejsce.

– Może, odpowiedział August.

– O ja nieszczęśliwa! łamiąc drżące ręce zawołała kobieta – jak on spokojnie o tem mówi; stracić miejsce! ależ to rzecz okropna, z głodu poumieramy! Alboż ty myślisz zresztą co się ze mną stanie? po co było sprzeciwiać się naczelnikowi?

August stanął na środku pokoju.

– Anastazjo! rzekł stanowczym głosem; póki ja żyję i zdrow jestem, nie doświadczysz niedostatku; jak zaś zapracuję na byt nasz, o to nie pytaj, i nie mów abym dla chleba pozbywał się honoru, bo pojęcia twoje utraciły przez chorobę dawną swą jasność, i sama nie rozumiesz tego co mówisz.

Na dźwięk pełnego spokojnej energii głosu Augusta, Anastazja umilkła; nie uspokoiła się jednak, bo oczy jej błyszczały wciąż gorączkowo, biegając niecierpliwie z przedmiotu na przedmiot, a drżące palce znowu suknią szarpać zaczęły.

August w milczeniu usiadł przy otwartym pianinie, i dotknął rękami klawiszów. Na dźwięk instrumentu Anastazja drgnęła całym ciałem, i wyciągając przed siebie obie ręce, krzyknęła:

– Nie graj! nie graj! nie mogę w tej chwili znieść muzyki!

August powstał, i znowu zaczął milcząc chodzić po pokoju. Chora znowu wiodła za nim niespokojnym rozdrażnionym wzrokiem; wążkie usta jej to zaciskały się, to rozwierały, ręce drżały coraz bardziej.

– O czymże tak myślisz? zawołała w końcu głosem objawiającym najwyższe wzburzenie; zapewne o tych młodych i zdrowych i ładnych maseczkach, które spotykałeś dziś na mieście! i

porównujesz je ze mną, i myślisz że nie masz w domu szczęścia! że wracając zmęczony i zmartwiony znajdujesz postarzałą i schorowaną kobietę, grzejącą u komina bezwładne nogi, i nie masz obok siebie ładnych usteczek, któreby ucałowały twoje młode usta, i młodej dłoni któraby z pieszczotą przesunęła się po twym zmęczonym czole! Ty myślisz o tem wszystkim, prawda? i pragniesz aby tu na mojem miejscu usiadł coprędzej jaki młody aniołek w bieli, i składając rączki powiedział: „kocham cię Auguście!” A tybyś wtedy zapomniał o wszystkich smutkach swoich, ukląkł przed nią, i odpowiedział także: „kocham cię!” A temu wszystkiemu ja stoję na przeszkodzie! Och!..

Coś nakształt okropnego łkania ozwało się w piersi nieszczęśliwej; obiema dłońmi oparła się o poręcz fotelu i pochyłona, rozogniony wzrok wlepiła w twarz męża, który stał naprzeciw niej, nieruchomy, z rękami założonemi na piersi, z oczami ciskającemi iskry z pod brwi zmarszczonych.

– Ach tak! wołała dalej głosem przerywanym od wewnętrznych jęków, które jej wyschłą wstrząsały piersią – tak, ty myślisz o tem wszystkim; ty pragniesz miłości, pragniesz szczęścia, których ja ci dać nie mogę! Widzę to z twojej twarzy coraz bledszej, z twoich oczów coraz smutniejszych! Powiedz? może już kochasz kogo? cóż? czy piękna twoja ukochana? jakie włosy ma, jasne czy czarne? rączkę musi mieć śliczną, bo wiem że lubisz piękne ręce u kobiet! Cóż? odpowiadaj!..

August nie odpowiadał. Po czole jego przechodziły chmury, z oczów strzelały błyskawice; usta zwarły się boleśnie i zbladły. Zdawało się, że jakiś krzyk straszny, jakieś słowo okropne już już miało mu wyrwać się z piersi – i zatrzymywał je w sobie całą mocą woli mężkiej.

Anastazja drżała, rumieńce coraz silniejsze wybijały się na jej policzki wychudłe. Przez chwilę nie mogła głosu z piersi wydobyć!

– Odpowiadajże! zawołała znowu z wielkiem wysileniem; czy słyszysz? pytam ciebie czy kochasz już kogo? czy ona bardzo piękna? czy powiedziała ci, że cię kocha? Odpowiadaj! niech posłyszę i umrę!

August nie odpowiadał.

– Odpowiadaj! strasznym głosem krzyknęła Anastazja, i bezprzytomną ręką pochwyciwszy ze stołu srebrną łyżeczkę, cisnęła ją na niego. Łyżeczka brzęknęła na posadzkę – August jakby się ze snu obudził. Spojrzał na przedmiot leżący u stóp swoich, i na wykrzywioną szalonym uniesieniem twarz żony; z czoła i oczu jego zniknęły chmury i błyskawice, a na ich miejsce zjawiła się niezmierna, bezbrzeżna litość.

– Nieszczęśliwa! – wyrzekł zcicha. Anastazjo! upamiętaj się! uspokój! rzekł zbliżając się do żony głosem w którym obok mężkiej stanowczości była wielka dobroć.

Na te słowa kobieta załkała głośno, obiema rękami uczepliła się jego ręki, i namiętnie przycisnęła ją do ust. Jednocześnie dwa strumienie łez popłynęły z jej zapadłych oczu.

– Auguście! zawołała, przebacz mi! ja cię kocham!

Przy tych wyrazach wpatrzyła się w piękną twarz męża z wyrazem namiętnej, niepohamowanej miłości, która straszny stanowiła kontrast z jej pomarszczoną, zestarzałą twarzą, i niedołączną wyschłą postacią.

– Brzydka jestem i chora, zestarzała i bezwładna, jęczała cisnąc ciągle rękę jego w swych dłoniach – a kocham cię tak jak wtedy kiedym była zdrowa i ładna, i kiedyś mię brał za żonę niewiedząc sam, co sobie gotujesz! Wszak prawda Auguście, zem była wtedy ładna choć starsza o lat dziesięć od ciebie, i ty na wiek mój nie zważałeś, bo pociągnęłam cię memi czarnymi oczami, i moją szaloną dla ciebie miłością! Później Bóg ukarał mię chorobą, może za grzechy młodości; starość prędzej niż trzeba było, nadeszła – a teraz tyś młody i piękny, ja trup przywiązany do ciebie, przy którym ty sam bledniesz i schniesz! Tak, wyglądam jak trup, ciało moje uszło i zżółkło – ale serce żyje!

To mówiąc wypuściła rękę męża, i drgającymi palcami targała taśmy czepka. Rozwiązał się czepek, opadł z głowy, a z pod niego rozwinęły się długie, gęste, czarne jak heban włosy, opłynęły wełnianą bluzę, i końcami dotknęły posadzki.

Anastazja obie ręce zatopiła w tych prześlicznych kruczonych włosach – i z oczami wlepionymi ciągle w twarz męża, mówiła.

– Patrz! jak dziwnie wyglądać musi chuda, żółta i pomarszczona twarz moja, wśród tych włosów które wraz z sercem same jedne młode u mnie zostały! Nieprawda, że wyglądam jak czarownica, która z czaszki młodej dziewczyny zdarła prześliczne włosy, i przylepiła je do swej starej skóry? A jednak wtedy gdyś mię brał za żonę, włosy te dobrze przypadały do twarzy mojej białej jeszcze i świeżej. Pamiętasz? jak gdy siedząc tam... w altanie... rozwinęłam przed tobą moje warkocze... ty wtedy pierwszy raz powiedziałeś że mnie kochasz – i byliśmy zaręczeni! Ja umyślnie pokazywałam ci bogactwo włosów moich, bo wiedziałam że cię zachwyce – a kochałam cię, i chciałam żebyś mię kochał choć byłam dziesięć lat starsza od ciebie! Patrz i teraz jeszcze włosy mam piękne! Kochaj przynajmniej włosy moje, Auguste!

Na bladej twarzy Augusta grały i walczyły różne wzruszenia: wstrętu, bóleści, litości. Ostatnia zwyciężyła. Usiadł obok rozżalonej i rozdrażnionej kobiety, ujął jej rękę, i patrzył na nią z żalem, i dobrocią.

– Anastazjo! rzekł z cicha – los dotknął cię wielkim nieszczęściem, powinnaś się z niem pogodzić. Bądź łagodniejszą i więcej mężną; lżej ci z tem będzie; co do mnie, nigdy cię nie opuszczę.

Kobieta gorzko zaśmiała się, i znowu szarpać suknię poczęła.

– Nie opuścisz! nie opuścisz mię! szeptała – ale też i kochać mnie nie możesz! Ja wiem że to niepodobna! Jesteś i będziesz nieszczęśliwy przezemnie! a mnie tu boli, boli.

Przycisnęła obie ręce do piersi, i krzyknęła z niepowstrzymaną boleścią.

– Boże mój! jeden rok, jeden miesiąc, jeden tydzień zdrowia, młodości i piękności – a potem umrę z ochotą!

August powstał. Na twarzy jego było zmęczenie niezmierne. Nic powiedzieć nie mógł, nie miał siły.

– Dobranoc ci Anastazjo, wyrzekł tylko całując jej rękę – połóż się i uśnij, może sen da ci choć trochę spokoju.

IV

Weszła służąca, i fotel na którym leżała chora kobieta potoczyła ku sypialni. Anastazja milczała, ale znać było że wrzała głucho – bo usta zacisnęła gwałtownie, palcami szarpała i mięła suknię, a oczy zapadłe to przygasały chwilami, to znowu buchały trawiącym ją wewnątrz ogniem.

August wszedł do swego pokoju leżącego tuż obok sypialni Anastazji. Był to skromny i surowy pokój pracownika. Jedno okno wychodzące na ulicę za całą ozdobę miało prostą ciemną storę. W rogu pokoju stało po prostu zasłane łóżko, dalej spora szafa z książkami, biurko pełne papierów i różnych do pisania przyborów, parę sofek i krzesel, kilka portretów wielkich mężów na ścianach, a z dwóch stron biurka dwa popiersia brązowe, z których jedno sławnego poety, drugie sławnego muzyka.

Na biurku paliła się niewielka lampka ze światłem przytłumionem zasłoną wzrok chroniącą.

Gdy po przedchwilowej rozmowie swej z żoną August wszedł do swego pokoju, na bladej twarzy jego widać było ślady stoczony z sobą walki. W oczach malowało się zmęczenie, na pięknym czole osiadła zmarszczka głęboka, głowa pochyliła się na piersi z wyrazem gorzkiego zniechęcenia.

Otworzył na oścież okno, odetchnął pełną piersią świeżem nocnym powietrzem, i upadł na krzesło, czoło na dłoń schylając.

Za oknem ulica cicha już była i mroczna; turkot powozów umilkł całkiem, kiedy niekiedy tylko zapóźniony jaki przechodzień cicho przesunął się chodnikiem pod ścianami domostw. Rzadkie latarnie uliczne pogasty, oświetlone wprzód sklepy zamknęły się, okna przeciwległych kamienic ciemne były i zamknięte. Natomiast wśród głębokiego niebios sklepienia, paliły się gwiazdy iskrzące.

August siedział ciągle u okna z czołem na dłoni opartem; wzrok jego błądził bez celu po mrocznym tle ulicy i zasuwiał się coraz cięższym smutkiem.

Nagle młody mężczyzna podniósł głowę; do uszu jego przy płynęła muzyka fortepjanu. Wychodziła ona z otwartego okna przeciwległej kamienicy, położonego na pierwszym piętrze, tuż naprzeciw okna Augusta, przystrojonego dwoma doniczkami kwitnących róż.

Po miękkości uderzenia i łagodnym falowaniu tonów łatwo można było poznać, że za tem słabo oświetlonym oknem grała kobieta.

Grała jedną z pysznych sonat Beethowena biegle i umiejętnie, lubo palce jej ciszej i wolniej niżby należało dotykały klawiszów, niby zdjęte półsennem marzeniem, płynącym ku niej z łagodnym podmuchem nocy letniej i wonią róż kwitnących na oknie.

Była niewypowiedziana słodycz i poezja w tej muzyce kobiecej, zcicha i marząco płynącej w mrok uliczny, nad rzędami okien uspionych, pod gwiazdy cicho świecące na niebie.

August podniósł wzrok i wpatrzył się w oświetlone przeciwległe okno pierwszego piętra. Im więcej słuchał, tem czyściej i wyraźniej dochodziły do niego tony fortepjanu, a zarazem gorzyc i zniechęcenie ustępowały z jego twarzy, a wstępowało na nią marzenie ciche, takie jakim przesiąknięta była muzyka niewidzialnej artystki.

Sonata Beethowena przebrzmiała; ostatnie akordy jej rozwiały się w powietrzu przeciągłym echem. August słuchał ciągle z oczyma utkwionymi w okno pierwszego piętra i usłyszał inne pasmo melodji, które popłynęło znowu łagodnie i zwolna.

Tym razem byłato sztuka bez nazwy – improwizacja jakaś płynąca wprost z serca grającej, rzewna, pełna tęsknoty niewinnego serca, które samo jeszcze nie wie za czem tęskni; pełna zarazem spokoju i słodyczy dziewiczej piersi, która życie i świat przeczuwa dopiero za ledwie, budząc się ze snów dziecięcych o kwiatach, aniołach i gwiazdach.

Jeżeli wprzód można było odgadnąć, że poza oknem zdobnym w róże grała kobieta, to teraz w cichej improwizacji tej objawiła się dziewica; łagodne tchnienia dziewiczej piersi nietkniętej jeszcze żadną namiętnością ziemską, zdawały się wraz z muzycznymi akordy wylatywać przez okno i lecieć pod niebo modlitwą za przyszłość nieznaną – marzoną.

Na twarzy Augusta rozlał się rzewny wyraz, zniknął z niej całkiem uprzedni ból i gorycz; słodka muzyka niewidzialnej kobiety kołysała do spokoju wzburzone jego myśli i w serce zmęczone wlewała fale rezygnacji.

Nagle umilkły tony, a natomiast u okna pierwszego piętra zadrgała firanka biała, i pomiędzy dwoma róż krzakami ukazało się wychylone na ulicę popiersie młodej panny.

Twarz jej niknęła w mroku, ale przez przezroczysty muślin ubrania widać było śnieżną pierś, spokojnym oddechem pijącą ciepłe powietrze nocy, a krótkie rękawy ukazywały nagie, przedziwnie utoczone ramiona, zdobne w bransolety z czarnej lawy, uwydatniające białość ich i kształty. Obu łokciami wsparłszy się na oknie, pochyliła na dłonie głowę, z której opadało mnóstwo gęstych płowych loków.

Na jaki przedmiot padał wzrok tej pochylonej twarzy?

Nie można było dojrzeć śród mroku.

Może błędził bez celu po cieniach ulicznych? może zawitał pod gwiaździstym stropem niebios? Może spuszczał się ku otwartemu oknu przeciwległej kamienicy, które nisko nad ziemią samo jedno błyszczało jeszcze między rzędami ciemnych okien?

August powstał z siedzenia, – odstał nieco, i sam niewidzialny wpatrywał się w stojącą u okna kobietę.

Upłynął kwadrans, młoda panna podniosła głowę, wyprostowała się i zamknęła okno. Światło jednak nie gasło i na tle słabo oświetlonych szyb rysowała się biała firanka i doniczki z różami.

Północ nadchodziła; chłodny powiew zawiął do pokoju Augusta. Zamknął też okno, usiadł przed biurkiem, i rozłożywszy przed sobą papiery pilnie pracować zaczął.

Ktoby wtedy był na ulicy, widziałby dwa naprzeciw siebie umieszczone okna – jedno na pierwszym piętrze, drugie na dole, same jedne oświetlone pomiędzy ciemnymi oknami sąsiednich domów. Za jednym i za drugim z tych okien mrugało niepewne lamp światło, zdając się wieść z sobą tajemniczą rozmowę.

W godzinę po północy okno u góry zagaśło pierwsze.

Okno Augusta płonęło wtedy jeszcze, gdy świt dnia majowego rzucił na dachy domostw miejskich potoki białego światła.

V

Za miastem, nad brzegiem rzeki, leżą wzgórza pięknie obrosłe sosnowym borem, i wraz z nim falujące łagodnie; miejscami przerzyna je parów głęboki o ścianach skalistych i dnie zasnutem srebrną siecią strumieni. Miejscami przerzedza się bór; wysmukłe tylko sosny, gładkie, gdzieniegdzie w znacznych od siebie rosną odstępach, a z za ich przezroczystej kolumnady widnieje błękitna wstęga rzeki, lub na przeciwnym jej brzegu bieli się u szczytu wzgórza zawieszony pałacyk pańskiej jakiej willi.

O pięknym zachodzie majowego słońca, na jednym z tych wzgórz rozlegało się kilkanaście wesołych głosów męzkich i kobiecych; białe i różowe suknie migotały między sosnami, różnobarwne parasoliki niby wielkie motyle, podnosiły się i opadały stosownie do tego, jak promienie słoneczne przeciskały się przez gałęzie boru, albo znikwały zasłonięte gęstwiną bujnych jałowców i młodej sośniny.

Byłoto towarzystwo, które chcąc użyć przyjemności majowego wieczoru, wybrało się z miasta na majówkę.

Na spadzistości wzgórza, u którego krańca płynęła rzeka, kilka grup zasiadło między sosnami.

Wszystkie te osoby widocznie znały się dobrze i przybyły tu razem – ale po przechadzce podzieliły się na oddzielne kółka, według upodobań i stopnia znajomości – a każde z tych kółek wiodło ożywioną rozmowę.

U samego szczytu wzgórza, w miejscu najwygodniejszym, bo najbardziej osłoniętem od słońca, na rozciągniętym pod sosnami dywanie, siedziała bardzo strojna i bardzo piękna kobieta. Mimo siedzącej postawy łatwo można było odgadnąć, iż była wysoka; ogromne włosy lnianego koloru, przykryte malutkim niebieskim kapelusikiem, zdobiły jej głowę podniesioną z wdziękiem i dumą. Bogato haftowana biała jej suknia szeroko rozkładała się na dywanie; u stóp jej rozpięty i niedbale rzucony leżał błękitny parasolik, a ręka ociągnięta jasną rękawiczką powiewała białym puszystym wachlarzem. Oprócz tego, miała na sobie kosztowną złotą broszę, także kolce, i parę bransolet na śnieżnych, widniejących z za muślinu ramionach.

Była to pani Olimpija Rostowiecka, majątna obywatelka z okolicy, większą część roku przepędzająca w mieście. Państwo Rostowieccy posiadali obszerne majątki i bardzo świetne kolligacje, w skutek czego liczyli się do miejscowej arystokracji rodu i majątku. Wprawdzie wiadano powszechnie, że na wielkich majątkach ciążyły wielkie długi; że dla długów tych tylko, sama pani zmuszoną była wyrzec się życia w stolicy lub zagranicą, a poprzestać na przebywaniu w X.; niemniej jednak w ostatniem tem mieście prowadziła dom na wielką skalę; miała salony, powozy, liczną służbę, i kosztowne a coraz nowe stroje. Na wsi spędzała zaledwie trzy lub cztery miesiące w roku, nie mogąc znieść, jak mówiła, ciszy i samotności wiejskiej. Pan Rostowiecki za to mieszkał ciągle na wsi, zaledwie parę razy na miesiąc odwiedzając X, dla widzenia się z żoną, którą kochał do ubóstwienia. Gospodarzył on, pracował, borykał się z ciężkimi czasami i interesami, aby najdroższej pięknej Olimpji dostarczyć środków na życie, do którego przywykła od dzieciństwa – bo pochodziła z bogatego domu, i była córką ojca który cały fundusz przemarnował na zbytki. Złośliwi ludzie dziwili się, jak odłużony i zrujnowany fundusz państwa Rostowieckich, przy całych nawet usiłowaniach pana Jana, mógł wystarczyć na coraz nowe meble, powozy i klejnoty dla pani Olimpji. Ale było sekret domowy małżeństwa, które zresztą zachwycało wszystkich zobopólną zgodą i miłością. Pani Olimpija miała z górą lat trzydzieści, ale wyglądała na dwadzieścia kilka, mając bardzo piękne kształty i świeżą płeć przy jasnych włosach. Głowę nosiła wysoko, bardzo wysoko, i w ogóle ukazywaną była jako typ wielkiej pani, umiejącej utrzymać w całej swej nieskazitelności honor swego wysokiego w świecie położenia.

Tuż obok pani Olimpji, na pniu ściętej sosny siedział mężczyzna czterdziestoletni, wykwiłtnie ubrany, z wysokim kapeluszem w rękę. Twarz miał bladą i ściągłą, oczy zamglone o niewyraźnem

spojrzeniu, w którym było i znudzenie, i przeżycie, i pogoń za rozrywkami i wrodzona instynktowo uczciwość. Z postawy zaś i ubioru jego można było odgadnąć, iż był człowiekiem światowym, pełnym wykwintnej grzeczności i salonowej ogłady – słowem gentlemanem, znudzonym tylko nieco i oryginalnym albo chcącym ujść za oryginalnego. Był to pan Spirydjon As, bogaty obywatel także z okolic X, znany z zamiłowania do gry kartowej i piękności kobiecej, czy to gdy znajdował ją za kulisami tego świata, który się przyzwoitym nazywa, czy też gdy mu się objawiła w świetnym otoczeniu salonów. Powszechnie wiedziano że pan Spirydjon od roku był gorącym adoratorem pani Olimpij; dla częstszego widywania jej, po parę miesięcy przesiadywał w X. i asystował jej wszędzie gdzie się ukazała. Niemniej jednak spostrzeżenia te nie czyniły żadnej ujmy opinii pani Rostowieckiej, bo ogólnie miano o niej przekonanie iż była kobietą nieposzlakowaną i niezachwianą cnoty, i że prędzejby umarła niżby najłżejszą plamą zaćmiła dwie tarcze herbowne błyszczące w połączeniu na drzwiczkach jej karety, lub najłżejszym złym rozgłosem zachwiała honor swego wysokiego w świecie położenia.

O parę kroków od siedzącego na pniu pana Spirydjona, siedział na murawie wysoki i barczysty o grubych rysach twarzy i rękach ściągających na siebie uwagę swoją wielkością, pan Feliks Rokowicz, urzędnik zajmujący dość znaczną posesję w X. Był to człowiek którego inteligencją nikt nigdy się nie zachwycił, ale którego za to surową i pełną powagi cnotą zachwycali się wszyscy. Był on Katonem społeczności wśród której żył, i jak jeden ze starożytnych mędrców, w obronie cnoty wychyliłby bez wahania kubek cykuty, jeśliby wiedział z góry, że ta cykuta zamiast jemu, odbierze życie grzeszącemu jego bliźniemu. Główną troską jego życia była czystość obyczajów publicznych; po niej następowała troska o nieskazitelną opinię, i niezachwiane w świecie położenie jego domu. Milczący zwykle gdy chodziło o te dwie idee pochłaniające jego ducha, powstawał z powagą, prostował się całą wysokością swej wysokiej figury, i zaczynał mówić – a tak bywał przejęty tem co wygłaszał, że stałby się niezawodnie wymownym, gdyby nie lekka zajękliwość, i dwa nieszczęśliwie posiadane przysłowia: „tedy” i „więc” o które co chwilę potykała się jego elokwencja. Mógłby wprawdzie jak Demostenes pójść na brzeg rzeki, i dla wydoskonalenia wymowy swej przy szumie wody z kamykiem w ustach wylamywać swe głosowe organa; ale nie czynił tego, bo nad szum wody przekładał szum ulic, wśród którego uważał się za stróża publicznych obyczajów, a raczej niż włożyć kamyk w swe usta, wołał go rzucić na każdego kto śmiał przekraczać przyjęte przezeń zasady publicznej moralności.

Dla czego tak bardzo dbał o cnotę bliźnich? Zdawało się, że sam o tem nie wiedział – a zresztą może i wiedział, ale wypowiedzieć nie mógł; bo ile razy już już miał to uczynić, płątały mu się w mowie nieszczęśliwe „tedy” i „więc;” oprócz kamyka na głowę bliźniego, nic więcej z ust jego nie wypadało.

Bardzo blisko przy panu Feliksie Rokowiczu, z ręką romantycznie otaczającą jego szyję, z głową melancholijnie zwieszoną mu na ramię, siedziała małżonka jego pani Teresa Rokowiczowa trzydziesto letnia kobieta, w dziewiczej błękitnej sukience, w naiwnym kapelusiku słomianym, ozdobionym naiwnym pęczkiem fijołków. Była to kobieta ani brzydka ani ładna, mogła nawet być ładną gdy miała lat dwadzieścia i mniej. Teraz powierzchowność jej uderzała tylko pozorem niezmiernie skromności i niewinności graniczącej z niewiedomością dziecięcą. Z pozorem tym sprzeczały się nieco wyrazem swym niewielkie szare oczy, niezmiernie ruchliwe i błyszczące. Ktoś nieznający pani Teresy mógłby może wyczytać w oczach tych coś nakształt złośliwości i jakichś tajonych grzeszków terażniejszych czy przeszłych; ale ktokolwiek znał ją choć trochę, strzegłby się najmocniej wydania podobnego o niej sądu; bo pani Rokowiczowa znaną była jako wzór cnoty kobiecej, czystości serca, przezroczystości uczuć i najwierniejszej, do ekstazy posuniętej miłości małżeńskiej. O kilka kroków od tej z czterech osób złożonej grupy siedziały dwie kobiety, i jeden mężczyzna. Mężczyzna siedział pośrodku, i nazywał się Paweł Rumiański. Był to postać długa i sucha, z twarzą również długą i bladą, z ustami otwartymi nawpół pod wąsem niepewnego koloru, z oczami niepewnego także koloru, ale posiadającymi pewien wyraz uczciwości i dobroci. Obok niego, jak drobna polna różyczka, rozkwitała dwudziestoletnia żona jego, Stanisława, zwana ogólnie

pieszczonem imieniem Stasi. W istocie niepodobna było inaczej ją nazywać jak zdrobniale – takie to było drobniotkie, wesołe i zwinne. Wszystko w niej było drobne, począwszy od wzrostu i ręki aż do zadartego figlarnie noska, i nóżki dziecięcej niemal małości. Córka dość majątnego obywatela, bardzo starannie wychowana, niewiadomo dla czego po śmierci ojca zdecydowała się wyjść za suchego i bladego, o umyśle niepewnej wartości pana Rumiańskiego. Może nie chciała zamieszkać przy bracie, który nie uchodził za wzór braci, może mimo nie świetnych pozorów, oceniła poczciwe serce, i przywiązanie do siebie pana Pawła? Dość że odkąd została jego żoną, była zawsze jednako świeżą i wesołą aż do pustoty, i nie przestawała nią być nawet zostawszy matką dziecięcia, które ubóstwiała, i którym zajęta była dniem i nocą.

Z drobnej twarzyczki Stasi, obok nieudanej niewinności i dobroci tryskał świeży, i żywy dowcip; ubierała się zawsze bardzo starannie lubo nie kosztownie, a w ubraniu lubiła przedewszystkiem różowy kolor. Dla tej ciągłej wesołości i zamiłowania w różowym kolorze, ogólna opinia zwała ją pustą, wietrzną i lekkich zasad kobietą, oraz wodzącą swego męża na pasku.

I teraz Stasia cała różowo ubrana siedziała na murawie obok męża, a drobną główkę osypaną złocistymi loczkami sparłszy na malutkiej rączce, figlarnym wzrokiem patrzyła na siedzącą naprzeciw kobietę.

Byłoby zupełne przeciwstawienie jej samej. Pani Apolonia Kuderska wyglądała na lat czterdzieści, ubrana była w czarną wełnianą suknię, takąż mantylę średniowiecznego kroju, oszytą szeroką jedwabną frendzlą, a na rudawych i siwiejących włosach miała czepek z czarnych koronek z fijołkowemi wstążkami. Czarny ałtasowy kapelusz wisiał na jej ręku zawieszony na związanych wstęgach, i przy każdym poruszeniu tłuł się o wyłaczany krzyż różańca, okręconego nakształt bransolety w pobliżu pięści. Takież krzyż, tylko nieco mniejszy, wyglądał na piersi z pod frendzli od mantyli, a z kieszeni wysuwał się, z trudem w nią wpakowany „Złoty ołtarzyk.” Pani Apolonja była żoną męża, o którym nikt nigdy nie słyszał i matką dzieci, których nikt nigdy nie widział. Nikt też nigdy nie widział na niej innego ubrania – jak to które miała na sobie obecnie – ale nie dziwiono się temu, bo wiadano że pani Kuderska nie była bogatą. Mąż jej był urzędnikiem pobierającym nie zbyt wielką pensję, a i tej jeszcze część znaczną pani Apolonja oddawała ubogim, i na msze. Nos miała ogromny, czerwono rozkwitający śród żółtej twarzy, i opinię niezmiernie cnotliwej i świętobliwej niewiasty. Mimo opinii tej nie była jednak sympatyczną: to też oddając cześć przynależną jej cnotcie, nazywano ją niekiedy pocichu żartobliwem mianem pani Antyfona. Oprócz tych dwóch grup zawierających najwybitniejsze, i najbardziej charakterystyczne postacie zebrania, na spadzistości wzgórza siedziało parę innych złożonych z poważnych kobiet i mężczyzn, a nie opodal między sosnami, parami i pojedynczo przechadzało się kilka młodych i strojnych panien, w towarzystwie dwóch czy trzech młodych mężczyzn.

Słońce zataczało się coraz niżej, smugi czerwonych promieni rzucając po gładkiej powierzchni rzeki, po której zdala mknęło kilka łódek rybackich. Na przeciwległym brzegu z jednej strony widniał między zielenią biały pałacyk jakiejś willi, z oknami ozłoceniem słońcem; z drugiej miasto pobudowane na górze w amfiteatr, błyszcząco czerwonymi dachami, i strzelało wysoko wieżami kościołów. Wzgórze na którym rozsiadło się towarzystwo, czarownie wyglądało ustrojone sukniami i twarzami kobiet, migocącemi pośród zieleni, na którą zachodzące słońce rzucało roje drżących iskier.

Kilka promieni słonecznych przeciskając się między krzakami jałowcu upadło na strojną głowę pani Olimpji. Pan Spirydjon podjął z ziemi błękitną jej parasolkę, i osłonił nią piękną panią. Skinęła mu głową z wdziękiem połączonym z pewną dumą, potem rozejrzała się około, i rzekła głośno:

– Gdzież jest panna Wanda Rodowska? nie widzę jej tu nigdzie?

Na to pytanie pani Teresa Rokowiczowa podniosła głowę spoczywającą dotąd na ramieniu małżonka, a uśmiech przebiegł jej wązkie usta.

– Przed pół godziną, odrzekła, widziałam jak odeszła w głąb lasu z panem Edwardem Gaczyckim. Ci państwo muszą zapewne przyjemnie przepędzać czas z sobą, kiedy dotychczas nie wracają do nas.

Wyrzekłszy słowa te z niewypowiedzianą słodyczą ujęła ogromną rękę męża, spojrzała mu w oczy, i zapytała z przymileniem:

– Nie chciałbyś pewno Feluniu abym tak z kim sam na sam poszła w głąb lasu? nieprawdaż?

Pan Feliks spojrzał na nią takimi oczami, jakby sama myśl czegoś podobnego pomieścić mu się w głowie nie mogła.

– Moja Tereniu, odrzekł, wiem że nie popełnisz nic... tedy... coby sprzeciwiało się...

Niewiadomo co dalej chciał powiedzieć, bo przerwała mu pani Apolonja, która na wzmiankę o panie Wandzie Rodowskiej przysunęła się do pani Olimpji i jej towarzystwa.

– Jaka to szkoda tej kochanej Wandzi, wyrzekła z pobożnym westchnieniem – taka śliczna i dobra panienka, a tak niestosownie postępuje! Któż widział aby młoda osoba taka swobodna była z mężczyznami, chodziła z nimi podrękę i sam na sam z młodym człowiekiem oddalała się od towarzystwa! Mój Boże! co też to za świat teraz!

– Wszystko to wina matki, ozwała się pani Teresa; nie umiała ona prowadzić Wandy od dzieciństwa, zapomniała o tem, że najpierwszą cnotą kobiety powinna być skromność. Nieprawdaż, Feluniu?

Rokowicz skinął głową.

– Naturalnie – wyrzekł – żeby panna Wanda była moją córką... tedy...

Niewiadomo co dalej chciał powiedzieć, bo pani Olimpja przerwała mu znowu. Ponieważ jąkał się i mówił bardzo powoli, niecierpliwe audytorjum najczęściej przerywało mu mowę.

Pani Olimpja podniosła dumnie głowę i rzekła:

– Moje panie! sądzę że panna Wanda mimo całej niekonsekwencji swego postępowania, nie zdolna jest uczynić nic, coby jej rzeczywistą przynosiło ujmę. Przecież jest panną dobrego urodzenia, i należy do wyższego towarzystwa; a nie pojmuję jak osoba naszej sfery może dopuścić się czegoś, coby nie było zgodnem z jej położeniem w świecie.

– Moja Olimpko, odpowiedziała pani Teresa, nie każda kobieta posiada taką szlachetną jak ty dumę, która służy w życiu za puklerz od wszelkiego złego. Są nieszczęśliwe, które jakkolwiek wysoko stoją, zapominają o skromności, która jest najwyższą ozdobą kobiety!

– I o przykazaniach bożych! wtrąciła z nowem westchnieniem pani Apolonja.

– I o obmowach ludzkich! dodała bardzo serjo różowo ubrana Stasia, która dotąd słuchała w milczeniu całej rozmowy, główkę oparłszy na dłoni.

Całe towarzystwo spojrzało na nią ze zdziwieniem, ale nie uważało za potrzebne odpowiadać pustej i lekkomyślnej kobiecie. Po kilku chwilach dopiero pani Olimpja zwróciła mowę do pani Pawłowej:

– Wszakżeto pani opiece powierzyła dziś swą córkę pani Rodowska. A jednak straciłaś ją pani z oczu!

Twarz Stasi przybrała wyraz komicznego przerażenia.

– W istocie, zawołała: niedarowanato z mej strony nieuwaga, że nie pogoniłam za Wandzią gdy oddalała się z panem Edwardem! Ten straszny człowiek zasztyletował ją gotów w głębi lasu, albo rzucić w jaką otchłań bezdenną! Cóż robić jednak? teraz już zapóźno doganiać! niech się dzieje wola boża.

Pan Paweł zwrócił na żonę swoje poczciwe acz niezbyt rozumne spójrzenie i szepnął:

– Cicho! cicho Stasiu, narażasz się!

Pani Olimpja wzruszyła nieznacznie ramionami, i szepnęła do pani Apolonji:

– Co za niedarowana lekkość form i wyrażania się w kobiecie wyższej sfery!

– A jaka bezbożność! odszepnęła Antyfona – zwywa imienia boskiego nadaremnie!

– Dziwnie lekkomyślna i pusta kobieta, dodała również cicho pani Teresa. Zawsze zapomina o skromności właściwej młodej kobiecie. Alboż ten wiecznie różowy ubiór, czy stosownym jest dla mężatki i matki dzieci?

– Przyznać trzeba, że pani Stanisławie bardzo w nim jest do twarzy, rzekł milczący dotąd pan Spirydjon, nachylając się ku szepczącym kobietom.

Brwi pani Olimpji zsunęły się nieco, a pani Teresa żywo odrzekła:

– Mężatka, pamiętająca o swych obowiązkach, powinna myśleć tylko o podobaniu się swemu mężowi. Nieprawdaż Feluniu?

– I o chwale Pana Boga! dodała Antyfona.

– Spodziewam się, zabrała głos pani Olimpja, że pan Gaczycki, jako człowiek wyższego towarzystwa, kompromitując tak ciągle pannę swem assistowaniem, zechce się z nią ożenić.

– I czyniąc ją miljonową panią, przemienić w przyjaciół jej wszystkich tych, którzy ją dziś obmawiają – podjęła Stasia.

– Moja kochana pani Stanisławo, słodziutko wyrzekła pani Teresa, właśnie dla tego że pan Edward jest miljonowym panem, nie można mieć nadziei ażeby się ożenił z panną Rodowską; bo na niewielki jej posąg nie poślakomi się, a wątpię żeby się zajął szczerze osobą która zapomina...

– O skromności będącej najpiękniejszą ozdobą kobiety! dokończyła Stasia.

– Co do mnie – podjął pan Spirydjon, nie dziwiłbym się Edwardowi, gdyby się starał o rękę panny Wandy. Jestto jedna z najpiękniejszych kobiet jakie znam.

Tymrazem po czole Olimpji wyraźna przemknęła chmura.

– Należy pamiętać i o tem – wycodziła zwolna, niby niezważając na słowa swego adoratora, że panna Rodowska, bez uwagi na sferę do której należy, nie z pierwszym panem Gaczyckim kompromituje się w podobny sposób. Odkąd ją znam, zawsze zapomina o formach przyjętych w wyższym towarzystwie.

– I o przesądach panujących w tem towarzystwie! dodała zawzięta Stasia.

– Cicho Stasiu, cicho, narażasz się! szepnął pan Paweł.

– Gdyby jednak pan Gaczycki ożenił się z kochaną Wandziulką, czego jej życzyć szczerze, bo kocham ją z całego serca, zaczęła pani Apolonja, byłaby z nich bardzo dobrana para – szkoda tylko że tak w dobrem jak w złym. Oboje są śliczni, kochani, serdeczni, ale nie mają żadnej religji. Niech mię Bóg strzeże i broni od obmowy lub odbierania sławy bliźniemu, ale, co prawda, nie widuję nigdy w kościele ani pana Edwarda ani panny Wandy. Nieprawdaż pani Stanisławo, że panna Wanda nie bywa w kościele? pani o tem wiesz jako najlepsza jej przyjaciółka.

– Nie umiem pani na to odpowiedzieć, odrzekła spytana; bo choć rzadko chodzę do kościoła, to jednak gdy raz tam jestem, to już modłę się tylko – a zatem nie widzę kto jest w kościele a kogo niema.

Antyfona przygryzła sobie usta. Z miną jednak pełną namaszczenia zwróciła się do młodej kobiety i rzekła:

– Bardzo to pięknie że pani jesteś tak pobożną. Nasz Ojciec niebieski który sam tylko patrzy w serca swoich wiernych, policzy ci to na sądzie ostatecznym, na którym ważyć się będą grzechy i zasługi ludzkie.

– Amen, pocichu dokończyła Stasia.

– A ja powiadam państwu, ozwała się pani Teresa, że pan Gaczycki z pewnością nie ożeni się z Wandą. Jest to człowiek zimny i bez serca – pokochać zatem nie może; a jak mówiłam już, na posąg się nie poślakomi będąc sam tak bogatym.

– O, co prawda to prawda! zawołała Apolonja; to człowiek bez serca! nie widziałam nigdy żeby dał grosz ubogiemu!

– Niemoralny, ozwał się pan Rokowicz; prowadzić pannę... tedy... w głąb lasu... sam na sam... więc... to obraża... tedy...

I znowu nie dokończył, bo przerwał mu pan Spirydjon:

– Moi państwo! sądy wasze są niesłuszne; ani Edward jest, jak mówicie, bez serca, ani panna Wanda bezbożną. O pierwszym wiem wiele rzeczy, które mówią na jego korzyść; drugą widziałem raz na prymarji w katedrze.

– Pan chodzisz na prymarję? zapytała z przekąsem pani Olimpia.

Pan Spirydjon pochylił się prawie do jej ucha, i szepnął.

– Był to owego pamiętnego ranka... kiedym wracał od pani... zaszedłem do kościoła, aby tak rano nie być widzianym na mieście...

Na twarz pani Olimpii wystąpił nagły rumieniec. Zasłoniła się wachlarzem i szepnęła gwałtownie:

– Milcz pan! mogą usłyszeć!

Niepodobna jednak było, aby ktokolwiek posłyszał cichy szept pana Spirydjona, bo w tej samej chwili pan Rokowicz zerwał się nagle z siedzenia, wyprostował się całą swą wysokością i prostopadle wyciągnął przed sobą prawicę. Nie trudno było odgadnąć, że nagła jakaś a pełna zgrozy myśl uderzyła jego czworograniastą głowę, i sprowadziła zdarzający się mu niekiedy napad wymowy.

– Przepraszam, wyrzekł nagle, bo od tego wyrazu zaczynał zwykle, gdy miał wiele do powiedzenia. Po tym wyrazie wyrzuconym z ust jak z procy, milczał chwilę, i wodził wzrokiem po audytorjum.

– Tedy... więc... mówił dalej, panna Wanda kompromituje się nietylko z jednym panem Gaczyckim... Widziałem sam wczoraj... tedy... i słyszałem... bo to tak było... wyszedłem wieczorem na przechadzkę... Terenia została w domu, bo była niezdrowa... więc... poszedłem za miasto... (P. Feliks miał zwyczaj rozpoczynać opowiadania swe od potopu). Poszedłem więc za miasto i tedy myślę sobie: krótko będę bawił, bo Terenia w domu została...

– Najmilszy mój! wyrzekła Terenia.

– Idę sobie aleą, kontynuował pan Feliks nie zważając na czułą przerwę, aż spotykam Karolka N. Tedy poszliśmy razem... bo to on, państwo wiecie razem ze mną w biurze pracuje... Więc – to o tem to o owem zaczęliśmy gadać, i tedy wieczór nadszedł. Więc późno było... Karolek mówi: chodźmy bliższą drogą – więc chodźmy! odpowiadam, i poszliśmy tedy Wiejską ulicą. Idziem więc i słyszym muzykę. Karolek mówi: to panna Rodowska gra – więc spojrzałem na pierwsze piętro, bo to ona z matką na pierwszym piętrze mieszka... I patrzę więc... prawda! ona gra, i okno od jej pokoju otwarte... a Karolek mówi: panna Rodowska gra, a pan August Przybycki słucha. Spojrzałem więc na okno pana Przybyckiego – prawda, okno otwarte, i pan August siedzi przy niem i słucha jak panna Wanda gra. Tedy – myślę ja sobie: co to za panna co tak późno wieczorem okno otwiera i gra, kiedy z drugiej strony ulicy siedzi przy otwartem oknie mężczyzna, i słucha... I mówię to Karolkowi... tedy Karolek mówi, że to tak co wieczór bywa odkąd wiosna i okna się otwierają – że panna Wanda gra, a pan August słucha. Oboje więc przy otwartych oknach, jedno na pierwszym piętrze drugie na dole – jedno z jednej strony ulicy drugie z drugiej... Tedy mnie się zdaje że panna Wanda takim postępowaniem kompromituje się, i że tedy młoda panna która jest jak należy, tak postępować nie powinna... Przepraszam!

Wypowiedziawszy znowu to początkowe i ostateczne słowo najniespodzianiej w świecie, pan Feliks usiadł znowu przy swej małżonce, która zaglądając mu z przymileniem w oczy, poczęła przesuwając dłoń po jego włosach.

Stasia parsknęła śmiechem; po ustach pani Olimpii i pana Spirydjona przesunęły się też ironiczne uśmiechy. Ale pani Apolonja westchnęła głęboko, i wyrzekła z żalem:

– Mój Boże! jaki też to świat teraz! młode panny zamiast modlić się wieczorem, i dziękować Panu Bogu za dzień szczęśliwie przebyty, a gotować się do śmierci która lada chwila nadejść może, grają przy otwartych oknach...

– A żonaci mężczyźni słuchają! – jęknęła Teresa.

– Żonaci! żonaci! niech im Bóg odpuści ciężkie grzechy! westchnęła Antyfona.

Pan Spirydjon zaśmiał się prawie głośno.

– Moi państwo, rzekł, zdaje mi się że przesadzacie. Panna Wanda może i nie wiedziała że gry jej słuchał pan Przybycki.

– Przepraszam! – wystrzełił znowu jak z procy pan Feliks; wiedziała, bo potem patrzyła sama przez okno – i tedy widziałem że patrzyła na okno pana Augusta.

– A to widzę, wtrąciła Stasia, żeś pan sam stał nie mały czas pod oknem Wandzi; a co na to pani Teresa powie?

– Cicho Stasiu, cicho, narażasz się! szepnął pan Paweł.

– Ciekawe też to indywiduum – ten pan August Przybycki, odezwała się pani Olimpja; widziałam go kilka razy na ulicy. Bardzo miłą i dystygowaną ma powierzchowność, a prowadzi życie jakieś tajemnicze – nigdzie się nie pokazuje...

– Nieszczęśliwy jakiś człowiek, ozwała się Stasia z litością na twarzy.

– Owszem, szczęśliwy, odpowiedziała Apolonja; bo wszelkie cierpienia pomagają do zbawienia duszy. Kogo Pan Bóg kocha temu krzyżyki zsyła!

– W takim razie Pan Bóg musi nas bardzo kochać kiedy nam zesłał tę Antyfonę, szepnęła Stasia do ucha mężowi.

– Cicho Stasiu, cicho, narażasz się! odszepnął pan Paweł.

W tej chwili pani Olimpja powstała, i ująwszy ramię pana Spirydjona odeszła z nim ku rzece. Teresa przysunęła się do Apolonji, i zaczęła z nią szeptać ukazując nieznacznie na odchodzącą parę. Pan Feliks zaś zadumał się głęboko, zapewne nad upadkiem obyczajów publicznych, i nad tem jak młode panny gorsząco grają wieczorami przy otwartych oknach...

Stasia wzięła rękę męża, i rzekła doń zcicha:

– Co ty mi Polciu mówisz zawsze, abym była cicho, i nie narażała się! Mamże milczeć kiedy oni obmawiają moją przyjaciółkę? alboż ja się ich lękam? alboż dbam o ich zdanie? Dla mnie całe szczęście to ty, dom nasz – i dziecko nasze – a co o mnie powiedzą ci ludzie u których cnota na języku, a djabełek rogaty w sercu, to mi wszystko jedno! Potakiwać ich głupstwom i złości nie myślę!

– Pan Paweł wpatrzył się w pół figlarną, w pół nadaśaną, a nieskończenie dobrą twarz żony, i podniósł rękę jej do ust.

– Ty anioł jesteś, Stasiu, szepnął, a oczy jego błysnęły w tej chwili, napełniły się wyrazem wielkiej miłości, i nagle popiękniały. Stasia uśmiechnęła się do męża, żwawo powstała, i podsunąwszy mu rękę pod ramię, ze śmiechem i podskokiem pociągnęła go ku gronu panienek.

Pani Apolonja ukazała ją pani Teresie.

– Co to za pusta i wietrzna kobieta! rzekła.

– A jaka nieskromna!

– Wodzi męża na pasku! trzyma go pod pantoflem!

– A ręczę że go ani trochę nie kocha! tylko patrzeć jak go zacznie zdradzać.

– At! bezbożność tylko, i obraza Pana Boga! Mój Boże! mój Boże! co to za świat teraz! dokończyła Antyfona.

VI

Daleko od rozmawiającego w ten sposób towarzystwa, bo po spadzistości innego wzgórza, zstępowała powoli para ludzi: mężczyzna i kobieta. Mężczyzna był człowiekiem lat około czterdziestu, wyniosłej i wytwornej postaci, bladej i nieco przychudłej twarzy, z włosami jasnymi i przeredzonymi nad wysokim czołem, z oczami blado błękitnymi, które były bardzo rozumne i bardzo obojętne zarazem. Obojętność była też obok rozumu główną cechą jego fizjonomji, a nawet i postaci, która surowo choć z najwyższym smakiem ubrana, wydawała się chłodną, nieco sztywną i dumną.

Prowadził on pod rękę bardzo piękną dwudziestoletnią pannę, która powierzchownością swą stanowiła z nim zupełną sprzeczność. O ile on wydawał się chłodnym i obojętnym, o tyle w twarzy jej i całej postaci malowała się pełnia nietkniętych jeszcze, nieświadomych siebie uczuć. Ale widoczne było zarazem że uczucia te nie skierowane były jeszcze ku żadnemu wyłącznie przedmiotowi, i odbywały się dotąd w piersi dziewiczej jako przecucie tylko, spoczywały w niej cichą warstwą łagodnego marzenia. Marzenie to, było w szafirowych oczach młodej panny, wielkich i na wpół przysłoniętych długą ciemną rzęsą; w powolnym podnoszeniu się jej przezroczystego wzroku; było ono na czole jej gładkiem i białym, po którym kiedy niekiedy przemykały leciuchne różane odcienia; w składzie ust zamysłonych – i w ruchach łabędziowych postaci, która zdawała się nie chodzić lecz płynąć po ziemi. Sam ubiór jej miał w sobie coś marzącego i idealnego; mogłaby w nim stanąć przed malarzem na wzór średniowiecznej dziewicy rozdającej nagrody turniejowym zwycięzcom. Biała powłoczysta suknia sunęła się za nią muskając lekko leśne mchy i nieśmiertelniki; w płowych, wysoko nad czołem zaczesanych włosach, rozkwitała bladoróżowa *rosa thea*; złoty pasek ścisnął szczupłą kibić, i takież łańcuszek jak wężyk cieniuchny wił się po szyi śnieżnej białości i posągowych kształtów. W ręce spuszczonej i podtrzymującej fałdy sukni trzymała prosty słomkowy kapelusz, białą ozdobiony wstęgą.

W miejscu którym szli, las rzadki był i czysty; niemniej jednak mężczyzna z wielką ostrożnością i troskliwością prowadził pannę, która opierając się na jego ramieniu, piękne swe szafirowe oczy podnosiła marząco ku złocącym się od słońca szczytom sosen, zdając się wsłuchiwać w ich szum monotony, a zapominać całkiem o towarzyszu przechadzki. On także nie starał się o prowadzenie z nią rozmowy; obojętnymi oczami spoglądał prosto przed siebie, i tylko starannie uchylał przed swą zamarzoną towarzyszką kolczaste gałęzie jałowcu, czepiające się jej powłoczystej sukni.

Spojrząwszy wtedy na nich, odrazu można było odgadnąć że ona marzyła, on myślał; ona wyobraźnią snuła sobie jakąś nić podniebnych poezji, on rozważał wyborny gatunek drzew sosnowych które w koło niego rosły, i myślał że przydałyby się na maszty do statków zbożowych, które właśnie budował.

A jednak mimo tych sprzeczności zeszli się z sobą, wybrali siebie, i oddalili się sam na sam od licznego towarzystwa.

Czy może mimo sprzecznych pozorów mieli między sobą coś wspólnego?

Może zimnego człowieka pociągało marzycielstwo dziewczyny z za którego chciał ujrzyć ciepło młodego serca?

Może obojętny człowiek miał urok dla marzącej dziewicy, która po za chłodem dopatrywała w nim hartu ducha – tej w oczach każdej kobiety, idealnej cnoty mężkiej?

Powoli, piękna panna oderwała swe szafirowe oczy od wysoko powiewających gałęzi sosnowych, spuściła je po wężykowato wijącym się promieniu słońca, i zatrzymała na twarzy towarzysza.

– Jakże wdzięczną panu jestem, rzekła głosem, który brzmiał bardzo dźwięcznie, żeś mię pan odprowadził od tego gwaru i tego towarzystwa z którym przyjechaliśmy tutaj, i dał mi sposobność użyć prawdziwej przechadzki wśród ciszy i samotności.

– Niech pani wierzy, iż ta nasza ekskursja sprawia mnie samemu żywą przyjemność, z pełną grzeczności lubo chłodną galanterją, odrzekł mężczyzna.

– Od pewnego czasu, mówiła dalej panna, coraz mniej znajduję przyjemności w towarzystwach. Najczęściej nawet nudzę się między ludźmi, którzy mię otaczają. Nie śmiem i nie umiem może wydawać o nich stanowczego sądu; wiem tylko że mają pewne cechy, które mię rażą i nieraz zastanawiam się nad tem, dla czego ten świat, którego byłam tak ciekawa mając lat szesnaście, do którego tak mi było pilno, o którym marzyłam jak o czemś cudownem, dziś wydaje mi się płaskim i nie zajmującym, męczy mię często, czasem nudzi, a niekiedy nawet gniewa?

Mężczyzna przeniósł swe obojętne oczy na twarz panny, która w tej chwili okryła się wyrazem rozwagi – i odpowiedział.

– Jest to na nieszczęście własnością wielu na świecie rzeczy, iż zdala wyglądają jasno a zbliżka ciemno.

– Wielu! ale przecie nie wszystkich? zapytała panna, a w głosie jej zadrgała obawa i smutek.

– Prawie wszystkich zewnętrznych, odpowiedział mężczyzna; to tylko ma wartość gruntowną i niezmienną, co człowiek w sobie samym wyrobi siłą woli i pracy, i to co ukocha z myślą rozumną i celem świadomym siebie.

Panna spuściła wzrok ku ziemi, i kilka chwil zdawała się głęboko zastanawiać nad słowami towarzysza. Podniosła potem głowę, i rzekła powoli ze smutnym wyrazem:

– Ja tego dobrze nie rozumiem, co pan powiedziałeś. Ja piękności i światła szukam wkoło siebie; między ludźmi, na świecie pragnę znaleźć ideał – coś nieskazitelnego, co by mię zachwyciło; cóż niezwykłego, co by wyraźnie odbiło się od tła codziennej prozy...

– To znaczy, przerwał mężczyzna, że pani marzy. Bardzo to zresztą właściwe jej wiekowi, ale dopóki tak będzie, zawsze się pani zawodzić będziesz – aż te zawody marzenia pani w spokojną myśl przemienią, za pomocą której poznasz pani istotną stronę świata i życia...

Młoda panna nie odpowiedziała nic na te słowa, i postępowali dalej w milczeniu, i znowu ona marzyła – on myślał.

Nagle stanęli.

U stóp ich ukazał się parów głęboki – prawdziwa przepaść, nad której brzeg przyszli nie wiedząc sami o tem gdzie przyjdą.

Było to miejsce zachwycająco piękne.

W około porastał bór wyniosły, rzadki, mchem zasłany i murawą – rozłożystemi konarami sosen powiewający w górze. Od stóp tych sosen spuszczały się dwie wysokie ściany parowu – miejscami gładkie, skaliste i ciemno żółte; miejscami porośłe karłowatą jedliną, pomiędzy którą powiewały bujne wysokie grona różowych dzwonków, dzikie astry liljowe wychylały kołyszące się głowy, albo strzelała gdzieniegdzie oparta o ścianę wysmukła gładka sosenka. I znowu kończył się pas roślinności, tworząc niby wielki schód, ręką natury utworzony z zieloności i kwiecia – a rozpoczynała się gładka i spadzista ściana, zdająca się z niezmierną bystrością lecieć do dna przepaści. Ale na dnie tem najpiękniej było. Z sosen, jodeł i różnokształtnych dzikich krzewów, tworzyły się tam gęste altany i gaiki; z pośrodku ich wypływały strumienie to pojedynczo to snopami waziuchnych nici srebrzystych, kręto i bystro płynęły po kamykach, tworząc miejscami szemrzące wodospady, znikając na chwilę w nowej masie zieleni i znowu ukazując się, opływając stopy grubych drzew samotnie rosnących gdzieniegdzie, i niknąc ze szmerem w oddali której nie dosięgało oko. Po samym środku urwiska, między grupą oplątanych powojem krzewów, pobożna ręka jakaś wkopała krzyżyk biały; waziuchny strumyk przeciskał się tamtędy, i płynąc tuż koło krzyża zdawał się całować stopy jego. W innej grupie zieleni odzywały się kiedy niekiedy pojedyncze, oderwane tony śpiewu słowika; w borze, daleko, kukała kukułka, a oprócz tych słabych głosów, żadnego innego głosu słyhać nie było. Tylko wysoko szumiały drzewa, i woń żywiczna boru wraz ze świeżem tchnieniem wiejącem od strumieni i rzeki pobliskiej, napełniała powietrze.

Przechadzająca się para stała nad brzegiem parowu w milczeniu. Młoda panna wysunęła rękę swą z pod ramienia mężczyzny, oparła się plecami o sosnę, która obok niej rosła gładka i wysoka, i z założonemi na piersi rękami ściagała wzrokiem bieg strumieni na dnie przepaści.

Mężczyzna stał obok niej milczący, zamyślony także, i wpatrzony w przeciwną stronę parowu; ale z wyrazu twarzy jego prawie odgadnąć można było, iż myślał nad tem z jakich geologicznych pokładów składa się ściana urwiska.

– Boże mój! jak tu pięknie! zawołała nagle panna, jakby nie mogła zachwyty swego dłużej w piersi zamknąć. I pan powiadasz, mówiła dalej zwracając się do mężczyzny, i pan powiadasz, że ideałów niema na świecie! Alboż nie jest ideałem piękności i potęgi natura bez granic, piękna i silna w swych objawach, tak rozmaita a tak jednak pełna harmonji! O tak, zaczynam wierzyć, że nie między ludźmi ideałów szukać należy, ale w samotności i ciszy, między błękitem niebios i drzew wyniosłych zielenią, pod gwiazdami, wysoko, kędy duch boży unosi się w nieprzerwanym słońcu pochodzie, i na ziemi, nisko, kędy rozkwita kwiecie leśne wonne a niewinne! Tam na świecie – między ludźmi taka proza, taki chaos próżności, błahostek, egoistycznych uczuć i myśli – tu wśród natury tylko wielkość i piękność bez granic – ideał!

Umilkła, złożyła ręce na piersi jak do modlitwy i marzący wzrok swój podniosła znowu wysoko. Mężczyzna utkwiał w niej oczy pełne badawczego wyrazu. Zdawało się że poddawał stojącą przed nim dziewicę rozbiorowi krytycznego rozumu.

– Ciekawym, szepnął do siebie bardzo cicho, ciekawym, czy egzaltacja ta jest wynikiem rozbijałej wyobraźni, czy istotnie ciepłego serca?

Panna nie słyszała szeptu tego, zwróciła znowu wzrok na towarzysza i zaczęła mówić:

– Często zastanawiam się nad tem, dla czego, gdy w naturze wszystko tak niezmiernie jest rozmaite, że nawet dwóch listków jednakowych niema na drzewie, ludzie są tak dziwnie, tak prozaicznie, tak nudnie do siebie podobni?

Rzekłszy to zamyśliła się; mężczyzna zapytał:

– Jak to pani rozumiesz?

– Tak – odpowiedziała; gdy przebiegam myślą wszystkich mych znajomych, zdaje mi się że widzę szereg manekinów jednostajnie ubranych, chodzących, gadających, śpiących i jedzących. Wszyscy są sobie podobni i wszystkie istnienia są do siebie podobne. Nigdzie wielkiego szczęścia ni wielkiej niedoli, wielkiej cnoty ni wielkiej zbrodni – wszystko mierzone, konwencjonalne, objęte formami, sztywne, zimne. Każdy zaczyna dzień od śniadania, spędza go w pracy machinalnie spełnianej, albo i bez pracy, kilka godzin przepędza na pustej gadaninie, i wieczorem idzie spać po zmówieniu pacierza z takim samym natchnieniem, z jakim jadł kotlety na śniadanie, a z daleko mniejszem niż obmawiał bliźniego. Gdzież tu więc myśl wzniosła, gdzie dążenia wspaniałe, gdzie te wielkie dramata radości lub bólu, w których objawia się potęga uczuć ludzkich? Nic, nic, prócz egoizmu, gastronomicznych funkcij, przymusowej pracy, albo pełzającego próżniactwa. Doprawdy! wśród tego wszystkiego ogarnia mię czasem nuda śmiertelna i żałuję, że minął czas zaklętych królewiczów, błędnych rycerzy, i zbrojczyków zjawiających się w dobrych towarzystwach pod przybranemi nazwiskami!

W czasie mowy pięknej panny, mężczyzna nie spuszczał z niej badawczego oka, a gdy skończyła, szepnął:

– A! pragnienie wrażeń!

A głośno dodał:

– Więc pani chciałabyś spotkać między ludźmi coś niezwykłego, coś zachwycającego albo przerażającego?

– Tak, odpowiedziała panna, chciałabym nareszcie po tylu zwyczajnościach choć raz ujrzeć na świecie bohaterstwo lub zbrodnię – szczęście które człowieka pod gwiazdy porywa, albo rozpacz od której serce pęka, i życie się łamie.

Mężczyzna chciał coś odpowiedzieć, ale uwagę jego i jego towarzyszki zwrócił szelest kroków kogoś za nimi idącego. Odwrócili głowy, i zobaczyli między rzadką kolumnadą sosen postępującego młodego mężczyznę, a tak zamyślonego, że wzrokiem tak upornie wlepionym w ziemię, że ich nie spostrzegł.

Na widok zbliżającego się, dwa różne wyrazy zagrały na twarzach stojącej nad parowem pary. Obojętne oczy mężczyzny rozświeciły się czymś nakształt zadowolenia i serdeczności, lubo bardzo umiarkowanej; panna zapłonęła tak szkarłatnym rumieńcem, że oblał czoło jej i szyję, spłynął aż na ramiona widniejące pod białym muślinem, a blad różowa *rosa thea* zbladła przy nim bardziej jeszcze, i wydawała się śnieżną.

Mężczyzna towarzyszący płoniącej się pannie nie dojrzał jej gwałtownego rumieńca, bo patrzył na nadchodzącego – i zarazem wyrzekł dość głośno, tonem uprzejmie brzmiącym:

– Dobry wieczór, panie Augustcie!

Nadchodzący podniósł nagle oczy jak człowiek zbudzony z głębokiego zamyślenia; spojrzął na tego który go zawołał po imieniu, uśmiechnął się przyjacielsko, i odpowiedział:

– Dobry wieczór panie Edwardzie, nie spodziewałem się...

Nagle stanął jak wryty. Oczy jego zatrzymały się na twarzy panny towarzyszącej temu z kim się witał.

O ile ona zarumieniła się spostrzegłszy go, o tyle on zbladł spojrzawszy na nią. Oboje znac doświadczyli silnego wzruszenia; tylko że u dziewicy objawiło się ono rumieńcem, u mężczyzny bledością.

A z tym rumieńcem, i z tą bledością oboje byli bardzo piękni. Bledziuchna *rosa thea* drżała w płowych włosach panny nad czołem, które pochylało się nieco; promyk słońca igrał nad bladą twarzą mężczyzny, ukazując na niej zdumienie i zachwyt. Pan Edward Gaczycki ze zręcznością światowego człowieka szybko spostrzegł wzruszenie towarzyszki, a przypisując je zapewne pomieszaniu sprawionemu widokiem nieznanego, wyciągnął na powitanie dłoń do nadchodzącego, a do niej zwróciwszy się, rzekł:

– Pani zapewne nieznanomy jest pan August Przybycki, mój dobry przyjaciel.

A zwracając się do niego, wyrzekł:

– Panna Wanda Rodowska.

Skłonili się sobie w milczeniu. Wanda powoli podniosła na Augusta swe szafirowe wielkie oczy, i również powoli wysunęła do niego rękę.

– Nie znałam pana dotąd osobiście, rzekła głosem cichszym nieco niż ten którym wprzód mówiła, ale widuję go bardzo często. Od kilku miesięcy jesteście bliscy sąsiedzi, dodała zwracając się do Edwarda; pan Przybycki odkąd bawi w X. mieszka naprzeciw domu w którym my mieszkamy.

August skłonił się po raz drugi, i uściśnął końce palców ślicznej podanej mu ręki.

– Ja także, odpowiedział, mam szczęście widywania pani codziennie stojącej w oknie lub idącej ulicą – a nawet...

Zawahał się chwilę, i uśmiech ozdobił jego kształtne, świeże usta.

– A nawet, dokończył, ośmielałem się każdego wieczoru słuchać jej pięknej muzyki...

Wanda spłoniła się znowu.

– Doprawdy? odrzekła zwolna, nie wiedziałam dotąd że miewam słuchacza...

– I wielce kompetentnego, przerwał pan Edward. Widzisz pani przed sobą człowieka o chybionem powołaniu; mógł być artystą muzykiem, a został urzędnikiem...

– Czy tak? wymówiła Wanda – a oczy jej znów się podniosły na twarz Augusta, i zamigotały wyrazem zajęcia – pan lubisz sztukę i sam może grywasz?

– Sztuka pani, odpowiedział August, miała być celem mego życia. Mówiono kiedym dorastał, że na artystę stworzony. Na muzyka kształciłem się do dwudziestego roku życia; ale potem okoliczności kazały mi wejść na inną drogę, na której łatwiej i pewniej zdobyć mogłem chleb powszedni.

– Dla powszedniego chleba chybić powołaniu swemu! to rzecz okropna! zawołała Wanda z niezmiernym smutkiem w głosie.

Czoło Augusta zasnuło się chmurami, oczy jego spuściły się może dla ukrycia gorzkiego wyrazu, który się w nich pojawił. Po chwili jednak podniósł głowę, i odpowiedział ze spokojem lubo głosem niższym nieco:

– Bywają w życiu pewnych ludzi epoki w których nie wolno im myśleć o sobie, i w których obowiązek i honor nakazuje im wyrzec się najdroższych nawet celów i miłości życia.

Wanda nie odpowiedziała – była zamyślona. August po chwili mówił dalej całkiem już swobodnie:

– Chociaż jednak opuściłem wyłączny zawód muzyczny do którego sposobłem się za młodu, nie idzie zatem abym całkiem wyrzekł się sztuki. Poświęcam jej dotąd wszystkie wolne chwile moje, i znajomość jej a miłość dla niej uważam za najpiękniejszą stronę mego życia.

– Otóż znaleźliście się państwo, na wspólnie ulubionym gruncie, zawołał pan Edward. Bo trzeba ci wiedzieć Auguście, że panna Wanda urodziła się też artystką, wiele czasu poświęca muzyce, i gra prześlicznie.

– O ostatniem wiem dobrze, odpowiedział August, ośmielam się nawet złożyć pani serdeczne dziękczynienie za niewypowiedziane miłe chwile, jakimi pani mimo swej wiedzy darzyłaś mnie nieraz przez zachwycającą w istocie grę swoją.

Usta Wandy otworzyły się w uśmiechu, który czarowny wyraz łagodności i niewinności rozlał po jej marzącej twarzy. Znowu podniosła na twarz Augusta spojrzenie, w którym tym razem malowała się pewna nieśmiałość, i rzekła:

– Może więc pan zechce bardziej zbliżać się tę posłyszeć... i odwiedzić nas... mieszkamy przecie tak blisko... moja matka będzie panu bardzo rada...

August uklonił się głęboko, z podzięką i uszanowaniem, ale w milczeniu. Nie wiadomo było czy przyjął lub odrzucił zaprosiny pięknej panny. Przez chwilę milczeli wszyscy troje. Pan Edward zdawał się znowu rozważać pokłady geologiczne przeciwległej ściany urwiska; Wanda ściagała okiem bieg strumieni na dnie przepaści; po śniadej i wyrazistej twarzy Augusta przebiegały ruchome cienie i światła, to czoło chmurami się zasnuło, to z ocz strzeliła błyskawica, to po ustach przebiegł smutny uśmiech, i spojrzenie zawisło na płowych dziewczycy warkoczach. Nakoniec odezwał się pierwszy:

– Nad podziw niespodzianie spotkałem państwa nad brzegiem tego parowu. Co do mnie jest to miejsce ulubionych przechadzek moich; przychodzę tu prawie codzień, gdy tylko czas mi na to pozwala.

– Piękneboż to miejsce! wyrzekła przeciągle Wanda nie spuszczać oczu z szemrzących na dnie srebrnych nitek wody.

– Właśnie przed chwilą, odezwał się pan Edward, panna Wanda wyrażała swój zachwyt nad pięknnością natury tutaj i zadowolenie, że dla niej opuściła liczne towarzystwo z jakim przybyliśmy do tego borku na zaimprovizowaną majówkę.

– A! państwo tu przybyli z towarzystwem! wyrzekł August, i z wyraźnym niepokojem rozglądał się w koło, jakby się obawiał ujżenia tuż tuż wysuwającego się z pomiędzy lasu mnóstwa ludzi.

– Zostawiliśmy je daleko poza sobą, odrzekła Wanda, i wdzięczna jestem panu Gaczyckiemu, że mi to przypomniał. Ja tak lubię ciszę i piękność lasu, że gotowabym się zapomnieć tu, i długą nieobecnością nabawić o siebie niepokoju znajomych moich. Panie Gaczycki, już czas abyśmy wrócili do naszego towarzystwa.

To rzekłszy zebrała w dłoń długie fałdy swej sukni, jedno jeszcze spojrzenie rzuciła na dno parowu, jakby trudno jej było rozstać się z jego widokiem – i pełnym poważnego wdzięku ruchem postąpiła pomiędzy sosny w stronę, z której wraz z panem Edwardem nadeszła.

Dwaj mężczyźni szli obok niej, ale żadnemu już z nich nie podała ręki, a wstępowała sama na strome wzgórze spokojna i zamyślona, krokiem lekkim a pewnym, z którego można było poznać siłę i zdrowie najpierwszej młodości. Przy trudnem wspinaniu się na górę, pierś jej nawet nie wzdymała

się bynajmniej przyspieszonym oddechem zmęczenia; tylko białe policzki zaróżowiły trochę, i delikatnością barwy sprzeczały się o pierwszeństwo z drżącą w płowych włosach *rosa thea*.

Pan Edward znowu obojętnymi swymi oczami rozglądał się wkoło, jakby myśląc o zdatności otaczających sosen na maszty do statków zbożowych. August szedł ze schyloną głową, a oczy jego z pod powiek spuszczonej ściagały brzeg białej sukni Wandy, muskający leśne mchy i nieśmiertelniki.

Po kwadransie lub więcej takiego milczącego pochodu, do uszu trojga idących doszedł gwar rozmów, i w dali między zielenią zabłyśły barwy kilku sukien.

August przystanął.

– Przychodzi mi tu pożegnać państwa, rzekł z ukłonem; państwo zbliżacie się do liczego towarzystwa – ja zaś który go nie znam, wrócić tam dokąd szedłem.

Wanda zatrzymała się, i znowu powolnym ruchem wysunęła do niego rękę.

– Spodziewam się wkrótce zobaczyć pana, wyrzekła – ponieważ oboje jesteśmy zwolennikami muzyki a w mieście naszym tak mało znajduje się ludzi podobnego nam zamiłowania – więc może bliższa znajomość między nami wyjdzie na korzyść nam i sztuce. – I znowu cudownej słodczy i niewinności uśmiech otworzył usta Wandy.

August podniósł twarz bardzo bladą. Oczy jego mgliły się i płomieniły na przemian; w głosie prześlicznej panny usłyszał prośbę. Skłonił się z szacunkiem i wdzięcznością, a uściskawszy rękę Edwarda oddalił się szybko.

Wtedy pan Gaczycki grzecznie podał ramię Wandzie, i oboje postąpili ku widniejącemu między zielenią towarzystwu.

W chwili gdy Wanda zapraszała Augusta do domu swej matki, o kilka kroków od nich zaszeleściło coś w gęstwinie młodych sosenek i jałowcu, i pomiędzy kolczatemi gałęzmi przemknął kolor fijałkowy wstążek, i błysnął wyłaczany krzyż różańca. Była to pani Apolonja Kuderska, która zdjeta niezmierną troskliwością o „śliczną, dobrą, kochaną Wandziulkę,” pomknęła na jej spotkanie ukrywając się między gęstwiną zarośli, aby niewidzialna, spotkać ją wracającą z panem Gaczyckim, i z ukrycia mózdz lepiej czuwać nad zbawieniem jej duszy.

VII

Pani Olimpia Rostowiecka stała nad brzegiem rzeki, wsparta na ramieniu pana Spirydjona Asa; obok niej, w tkliwym uścisku swych dłoni trzymając ogromną rękę małżonka, wzrokiem pełnym słodyczy i skromności patrzyła na pluskające w wodzie rybki pani Teresa Rokowiczowa; o parę kroków od nich stała niemłoda jakaś pani w białej mentyli i amarantowej sukni, zagradzając sobą drogę do rzeki dwom dosyć brzydkim i nie pierwszej młodości córkom. Całe to grono rozmawiało z sobą z ożywieniem, prócz pani Olimpji, która zachowywała w rozmowie rezerwę właściwą damie wysokiej sfery, i pana Rokowicza, zadumanego nad upadkiem obyczajów publicznych.

Nagle, rozległo się za nimi ciężkie westchnienie, i pomiędzy niebiesko ubranem ramieniem pani Teresy a śnieżną odkrytą szyją pani Olimpji, ukazał się pąsowo kwitnący nos pani Apolonji.

– Boże najwyższy! jęknęła Antyfona, jakaż to nieodżałowana szkoda tej ślicznej, kochanej Wandziulki!

Towarzystwo obejrzało się.

– Cóż się stało nowego z panną Wandą? z lekką ironją zapytał pan Spirydjon.

Ale państwo Rokowiczowie oboje, dama w amarantowej sukni, i dwie jej córki pełen ciekawości wzrok wpiły w twarz przybyłej do grona ich kobiety.

Pani Apolonja zdyszana od biegu, wydobyła z kieszeni z za złotego Ołtarzyka chustkę niepewnej czystości otarła nią pot z pełnego żółtych plam czoła, i jęknęła po raz wtóry:

– Boże najwyższy! jakaż jej szkoda! jaka jej szkoda!

– Cóż? co się stało? pytało towarzystwo.

– Niech mnie Bóg strzeże i broni, jęknęła Antyfona, abym miała obmawiać kogoś, odbierać sławę bliźniemu! ależ to obraza Pana Boga! Panna chodząca po lesie nie tylko już z jednym mężczyzną, ale z dwoma!

– Z dwoma! zawołała pani Teresa, ktoż był więcej z panną Rodowską oprócz pana Gaczyckiego?

Pani Apolonja milczała przez chwilę, i kiwała głową ze zgrozą, i politowaniem; potem plasnęła rękami odzianymi w grube czarne rękawiczki, i wyrzekła podnosząc oczy do nieba:

– Pan August Przybycki!

– Milczała znów długo wodząc wzrokiem po twarzach obecnych, potem znów jąła mówić:

– Niech mię Bóg strzeże i zachowa abym miała obmawiać kogo i odbierać sławę bliźniemu! ale widziałam, widziałam na własne oczy, jak Wanda szła od strony parowu z panem Gaczyckim po jednej stronie, a panem Przybyckim po drugiej – i słyszałam że pana Przybyckiego zapraszała do siebie mówiąc, że nudzi ją całe nasze towarzystwo, i że z nim jednym przyjemność znaleźć może. A on pocałował ją kilka razy w rękę, i coś szepnął do niej tak żeby pan Gaczycki nie słyszał. Musiał jej nie lada komplement powiedzieć, bo zarumieniła się po uszy. Nie byłabym nawet tego mówiła państwu, ale żal mi jej serdeczny – taka pocziwa, taka dobra panienska, i takich rodziców córka, a tak się gubi! Mój Boże! co to za świat teraz!

Oprócz pana Spirydjona, całe grono słuchało opowiadania pani Apolonji z najwyższem oburzeniem, które u każdego inaczej się objawiało. Pani Olimpia wyżej jeszcze głowę podniosła, i ciemne brwi zsunęła z pogardą; pani Teresa spuściła wstydliwie oczy, pan Rokowicz otworzył usta; a dama w amarantowej sukni stała się tak amarantową, jak jej suknia, i z trwożą o dziewicze uszy swych córek obejrzała się na nie, a one chciwie nastawiły swe dziewicze uszy, i usta wygięły w wyraz złośliwego zadowolenia.

Pani Olimpia odezwała się pierwsza:

– Nie darowanato rzecz osobie wyższej sfery, kompromitować w podobny sposób swe położenie w świecie, i pomiatać formami przyjętymi w wyższych towarzystwach!

– Nie pojmuję jak młoda osoba może zapominać tak dalece o skromności, która jest najpiękniejszą ozdobą kobiety! wyrzekła ze słodyczą i litością w głosie pani Teresa – a zarazem poprawiła nad czołem niewinny pęczek fijołków.

– Przepraszam! – wystrzelił pan Rokowicz wyciągając nagle i prostopadle prawicę; dopóki... tedy... panna Wanda chodziła z jednym panem Gaczyckim... więc... była to nieprzyzwoitość... ale tedy... zaczyna już chodzić z dwoma mężczyznami na raz... więc... jestto skandal... który obraża... tedy... przepraszam!

– A do tego jeszcze, uważaj mój najmilszy Feluniu, że jeden z tych mężczyzn jest żonaty! wyrzekła słodko pani Teresa.

– Oj żonaci, żonaci! niech im Bóg odpuści ciężkie grzechy! jęknęła Antyfona.

Tu dama w amarantowej sukni zasłoniła plecami odzianymi w białą mantylę dziewicze uszy swych córek, i odezwała się sapiąc z oburzenia:

– Dziwię się panu Gaczyckiemu że osłania sobą jakieś schadzki panny Wandy z żonatym człowiekiem. Cóżto za przykład dla naszych córek!

– Boże najwyższy! zawołała pani Apolonja, pan Gaczycki to najlepszy, najzaczniejszy człowiek – lubię go i poważam z całego serca; ale co prawda to prawda! niema żadnej religji, i zepsuty jest w formie, niemoralny! niech mnie Bóg broni i strzeże abym miała obmawiać bliźniego, ale co prawda to prawda!

– Przepraszam! wybuchnął znowu pan Rokowicz, póki pan Gaczycki chodził z panną Wandą... tedy... sam na sam... więc... byłato nieprzyzwoitość... ale kiedy więc... pan August, więc człowiek żonaty słucha codziennie przy otwartym oknie na dole... tedy... jak młoda panna gra przy otwartym oknie na pierwszym piętrze... a potem tedy spotyka ją w lesie i więc... całuje ją w rękę... tedy to skandal który obraża... bo więc pan August jest żonaty człowiek... przepraszam!

– Oj żonaci! żonaci! niech im Bóg... zaczęła pani Apolonja, ale nie skończyła, bo o kilka kroków od rozmawiającej grupy błysnęła z za sosen biała suknia Wandy, i po chwili ona sama spokojnie wsparta na ramieniu Gaczyckiego zbliżyła się nad brzeg rzeki.

Na widok nadchodzącej, pani Teresa wypuściła rękę męża którą dotąd piastowała w swych dłoniach, i ze słodziuchną miną postąpiła parę kroków.

– Kochana Wandziulko! zawołała słodkim głosem, tak długo pozbawiałaś nas twego towarzystwa! tęskniliśmy za tobą!

To mówiąc objęła kibić Wandy, która opuściła ramię swego towarzysza, długi pocałunek złożyła na jej policzku, i wyrzekła pełnym czułości głosem:

– Pieszczoszka moja!

Zbliżyła się i pani Apolonja.

– Nie pięknie, nie pięknie tak nas opuszczać! mówiła biorąc rękę Wandy; ja moje stare oczy wypatrzyłam oglądając się, gdzie się moja śliczniutka Wandzia podziała! już cię nie puszcze teraz za to dzieciaku miły; musimy razem wrócić do miasta, a jutro pójdziesz ze mną na sumę – nieprawdaż? wszak jutro niedziela! przyjdę po ciebie, dobrze?

I objęła z drugiej strony kibić Wandy, na drugim jej policzku złożyła pocałunek, i wyrzekła pełnym czułości głosem:

– Ślicznotka moja!

Wanda ze spokojną uprzejmością przyjęła te pieszczoty i oświadczenia się dwóch kobiet, i odeszła do innej grupy między którą błyszczała różowa sukienka Stasi. Pan Edward połączył się też z kilkoma mężczyznami stojącymi na uboczu. Po ich odejściu amarantowo ubrana pani wzięła za ręce obie swe córki, i pompatycznie odchodząc z niemi, rzekła pół głosem:

– Mes filles! powinnyście unikać towarzystwa panny Rodowskiej. Daje wam zły przykład!

Pani Olimpja podniosła głowę bardzo wysoko, z dumą zsunęła brwi, i zwracając się do pani Rokowiczowej wyrzekła:

– Dziwę ci się kochana Tereniu, jak możesz z taką czułością obchodzić się z panną, która nietrafnem postępowaniem tak uwłacza swemu wyższemu położeniu w świecie!

– Nie przypuszczajże Olimpko droga, tłumaczyła się pani Teresa, abym ja Wandę kochać miała, albo stawić ją na równi z tobą naprzykład, tak szlachetnie dumną i tak wzorowo umiejącą utrzymać swoje położenie w świecie. Ale widzisz mam trochę nadziei, że wpływem moim zdołam ją nawrócić na drogę skromności kobiecej, z której nieszczęśliwa zesła.

– A ja przy pomocy bożej pragnęłabym natchnąć ją religją i miłością dla cnoty, o których ta biedna kochana Wandziulka zapomina! dodała pani Apolonja.

– Tereniu! ozwał się pan Rokowicz prostopadle wyciągając ku żonie prawicę, nie życzę sobie... tedy... abyś wiązała się przyjaźnią z panną Rodowską... więc... ani żeby ona bywała w naszym domu... tedy... wiem że żadna osoba, która popełnia nieprzyzwoitość... nie powinna być w naszym domu.

Ostatnie dwa wyrazy pan Rokowicz wymówił z taką powagą i uroczystością głosu, jak gdyby sądził, że na dachu **domu jego** siedzi cała społeczność ojczysta, i że przy najłżejszym ciosie zadanym powadze ścian jego, dom ten runie, a społeczność spadnie z dachu i nos sobie stłucze.

Słońce zaszło, zmrok zapadał. Tam kędy kończyły się wzgórza a rozpoczynała droga do miasta, stały trzy powozy: jeden pani Rostowieckiej, drugi pana Spirydjona, trzeci pana Gaczyckiego. Reszta towarzystwa albo nie miała powozów, albo przekładała pieszy powrót do domów.

Pani Olimpja opuściła na chwilę ramię pana Asa, aby się pożegnać z towarzystwem; pan As skorzystał z urlopu i zbliżył się do Stasi wspartej na ramieniu pana Pawła.

– Czy mogę państwu ofiarować mój powóz? zapytał z pełnym galanterji ukłonem, i wyrazistym na młodą kobietę spojrzeniem.

– Dziękuję panu, odpowiedziała, już nam swój pan Gaczycki ofiarował i przyjęliśmy.

– Pozwoli pani odwiedzić siebie jutro? spytał znowu z wyrazistszem jeszcze spojrzeniem adorator pani Olimpji.

– I owszem, odparła Stasia, chciej pan przyjść, tylko w porze, gdy mąż mój z bióra powraca; bo w nieobecności jego tak jestem zajęta domem i dzieckiem, że nikogobym przyjąć nie mogła.

Pan Spirydjon ukłonił się raz jeszcze i odszedł z lekkim niezadowoleniem na twarzy.

– Czy widzi pani Wincentowa, mówiła nieopodal stojąca pani Apolonja do amarantowej damy, jak ta wietrznica Rumiańska kokietuje pana Asa! co oni tak szeptali z sobą? a biedne to Pawlisko stoi obok i nic nie widzi i nie słyszy!

– Osioł z niego, za pozwoleniem, a ona kokietka, odrzekła amarantowa dama i dodała: Co to za przykład dla naszych córek!

Pan Spirydjon, widząc że pani Rostowiecka kończy żegnać się z towarzystwem pośpieszał ku niej, aby pomódz jej wsiąść do powozu, gdy musnęła go błękitna sukienka pani Rokowiczowej przechodzącej mimo z małżonkiem. Pan Feliks opowiadał coś idącemu obok jakiemuś mężczyźnie, zaczynając rzecz swą od potopu; a niewinny pęczek fijołków pochylił się prawie do ucha pana Spirydjona i zarazem słodziutkie usteczka pani Teresy szepnęły:

– Jak uważam, wspaniała pani Olimpja nie zupełnie zasłania panu – i inne mniej świetne piękności... i pani Stanisława...

– Gdybyś pani nie była teraz wzorem cnoty małżeńskiej, przerwał również cichym szeptem pan Spirydjon, przełożyłbym wznowienie przeszłości nad wszelką terażniejszość...

– Milcz pan! mogą zasłyszeć! szepnęła gwałtownie pani Teresa, a mrok osłonił krwawy rumieniec, który na twarz jej wybuchnął.

– Nie usłyszą, odszepnął pan Spirydjon; a czyliż podobna nie wspominać przeszłości... gdy ona zostawiła tak miłe wspomnienia...

Pani Teresa spuściła rękę między fałdy sukni, pan Spirydjon spuścił także rękę, i obie ręce ucisnęły się wśród mroku.

– Felunieczku najdroższy! jednocześnie zawołała pani Teresa, pan Spirydjon żegna się z nami! nie uważasz!

Pan Feliks obrócił się żywo.

– Moje uszanowanie tedy... szanownemu panu, wyrzekł wyciągając swą ogromną rękę do pana Spirydjona; żegnam... tedy pana... niechże pan więc nas odwiedzi... niech pan tedy co najczęściej zaszczyca swą obecnością nasz dom...

Towarzystwo z gwarem, pocałunkami i uściskami rąk żegnało się czas jakiś – potem ruszyły powozy.

VIII

August, po powrocie z przechadzki, która niespodzianie dała mu spotkać i poznać niewidzialną artystkę, czarującą go swą muzyką co wieczór od kilku tygodni, wszedł do swego szczelnie zamkniętego, kurzem i stęchlizną tchnącego mieszkania.

Anastazja siedziała jak zwykle przed ogniem kominka, nogi swe bezwładne, nie ogrzewane krwi obiegiem, rozgrzewając przed płomieniem. Z płomienia tego wydobywały się małe kłęby dymu, i duszącą szarą mgłą napełniały pokój.

Na twarzy Augusta ukazało się przy wejściu ciężkie wrażenie, jakim napełnił go ten pokój zamknięty, sztywny, duszny i zadymiony, w którym się znalazł nagle po świeżości, zieleni i woni majowego wieczoru.

Zbliżył się jednak do żony, wyciągnął do niej rękę i rzekł łagodnie:

– Dobry wieczór, Anastazjo.

Ale Anastazja nie przyjęła jego ręki i nic nie odpowiedziała. Zagaste jej oczy upornie wpatrywały się w płomień, i ani razu nie zwróciły się na twarz męża. Palcami mięła i szarpała bezprzestannie suknię, z większą jeszcze niż wczoraj gwałtownością.

August usiadł przy niej i coś do niej przemówił. Nie odpowiedziała.

Dym z komina owiał mu twarz, i niezmierne gorąco płomienia go ogarnęło. Zakrztusił się, zakaszał, i odstąpił na środek pokoju, aby oddalić się od dymu i gorąca.

– Anastazjo, rzekł, zdaje mi się, iż źle czynisz siedząc nieustannie przed ogniem i w tak dusznym powietrzu. Gdybyś pozwoliła choć raz okno otworzyć! doktor nawet zalecał ci świeże powietrze.

Anastazja milczała i nie zwracała oczu na męża. Tylko coraz gwałtowniej mięła i szarpała suknię, przyczem coraz częściej błyskała przed ogniem złota ślubna obrączka.

Błysk ten uderzył parę razy oczy Augusta – może raził je przykro, bo odwrócił się i usiadł przed pianinem. A może też dźwiękami muzyki chciał rozbudzić nieszczęśliwą kobietę z jej milczenia upornego, pełnego wewnętrznego wrzenia, i wlać choć trochę słodyczy w tę pierś wyschłą od choroby, a targaną i rozdrażnioną boleśnie, gorzko.

Zaczął grać. Palce jego mistrzowsko wydobywały, z klawiszów tony, i łączyły je w rozliczne pasma melodji.

Po kilku chwilach znać było z twarzy jego, że zapomniał całkiem o tem co go otaczało, o duszącej atmosferze, którą oddychał, i o tym szkielecie kobiety, który siedział przed ogniem komina, i błyskał co chwilę złotą obrączką ślubną.

Grał z natchnienia, improwizował – i w muzyce jego powtórzyły się chwile, które niedawno przebywał poza ścianami swego domu. Głębokie tony basu naśladowały chwilami uroczysty i poważny szum boru, wiolin szemrał jak biegnące po kamykach strumienie – i zdawało się że gdzieś w dali, cicha woda sączy się zwolna ze stromego urwiska, i kropla po kropli spada na piaszczyste dno głębokiej przepaści. Potem zabrzmiały smętne akordy i łagodne *andante* popłynęło z dwóch przeciwnych stron klawiatury, niby rozmowa dwóch głosów, z których jeden mężki był jędrnej pełen poezji, drugi zdawał się wychodzić z niewinnej, marzeniem zasnutej piersi dziewiczej. Ale stopniowo oba te głosy nabierały energii i mocy; w oddali słychać było jeszcze szum boru i bieg kroplisty strumieni, lecz głużyła je dwojga ludzi rozmowa, coraz gorętsza, żywsza, namiętniejsza. Aż nagle palce artysty uderzyły gwałtownie jeden akord niezmiernej mocy; ozwały się w nim westchnienia, straszne jęki rwące piersi, namiętność bez granic i bez granic rozpacz. Potem ręce Augusta odpadły nagle od klawiszów – struna z jękiem pękła w pianinie.

August długo siedział nieruchomy, z rękami obwisłymi i głową opadłą na piersi. Ciemne oczy jego nie strzelały w tej chwili iskrami, ale z pod zsuniętych brwi patrzyły nieruchomie w jeden przedmiot, niby zakłęte jękiem pękającej struny, który drżał w przestrzeni długo – długo.

Po chwili młody mężczyzna podniósł głowę, i spojrzął na siedzącą u komina kobietę. Nie zmieniła postawy i nie odwróciła zagasłego wzroku od płomienia, a palce jej nie przestawały miąć i szarpać suknię.

Na twarzy Augusta ukazała się znowu litość i dobroć. Zbliżył się do żony.

– Anastazjo, rzekł, może chcesz abym ci co przeczytał?

Nie odpowiedziała.

Wziął ze stołu książkę, przybliżył lampę, i mimo duszącego dymu i gorąca, usiadł przed płomieniem i zaczął czytać głośno.

Przeczytał kilka kart i spojrzął na żonę. Nie zmieniła postawy! nie odwróciła oczu od ognia, i nie przestała drżącymi palcami miąć i szarpać sukni.

Zmęczenie ukazało się znowu na twarzy Augusta.

– Anastazjo, – zwrócił się do niej raz jeszcze, co ci jest dzisiaj? czyś bardziej chora? może chcesz abym wezwał lekarza?

Nie odpowiedziała.

Tym razem brwi Augusta zsunęły się, twarz jego buchnęła na chwilę wyrazem głuchego znecierpliwienia, oczy płomieniem zapłonęły. Nie rzekł jednak nic, tylko zacisnął zbladłe wargi i utkwiał na chwilę wzrok w posadzkę.

Potem powstał z wolna uspokojony mocą woli, i przeszedł parę razy pokój.

Wtedy Anastazja pierwszy raz odwróciła oczy od ognia i zawołała ochryplym głosem:

– Tekło! Tekło!

Weszła służąca.

– Zatocz mój fotel do sypialnego pokoju. Chcę spać.

Sługa fotel na kółkach potoczyła w stronę sypialni. Kościsty profil Anastazji przesunął się na tle płomienia, i raz jeszcze błysnęła na jej palcu złota obrączka ślubna.

– Dobranoc ci Anastazjo, rzekł zbliżając się do niej August, i podając jej rękę.

Nie podała mu swojej i nie odpowiedziała.

Jak wczoraj w przystępie głośnych wyrzutów, jęków i skarg, tak dziś była w fazie upornego, zawziętego milczenia.

August wszedł znowu do swego pokoju, gdzie czekała go lampa pod zasłoną płonąca, i biurko pełne ksiąg i papierów.

Otworzył okno i spojrzenie jego podniosło się ku pierwszemu piętru przeciwległej kamienicy.

Ale oświetlone okno pierwszego piętra otwarte wczoraj, i wylewające na zmęczoną głowę jego potoki słodkiej dziewiczej muzyki, zamknięte było i milczące. Tylko na tle bladawo błyszczących szyb rysowały się doniczki z różami, i biała firanka.

August patrzył na nie długo, długo – potem odstaąpił, usiadł przed biurkiem, i czoło pełne chmur ciężkich nad otwartą pochylił książką. Chwilami przerywał sobie czytanie, i przystępując do okna spoglądał ku pierwszemu piętru; zdawałoby się że czekał, czy nie ozwie się wśród nocy cichej czarowna gra niewidzialnej artystki. Ale okno z różami milczało. Czy mieszkająca za nim dziewczica tak zatoneła dziś w myślach swych i marzeniach, że zapomniała o instrumencie któremu co dzień o tej porze zwykła była dumy swe powierzać? – czy nieśmiałością dziewiczą i nieokreślonym wstydem niepokalanego serca zdjęta, nie chciała już dum tych wypowiadać muzyką, wiedząc o tem iż ma słuchacza?

I tylko długo, długo w noc dwa okna same jedne oświetlone i czuwające wśród ciemnych i uspiomych okien sąsiednich domów, zdawały się patrzeć na siebie i wieść z sobą tajemniczą rozmowę. Pośrodku, ulica mroczna i cicha zapadała między niemi, niby przepaść...

IX

Na najcichszej i najustronniejszej, a nawet niebrukowanej ulicy miasta, w dworku otoczonym zielonym podwórzem i ogrodem pełnym drzew owocowych i kwiatów, mieszkała pani Joanna Starowska, kobieta licząca lat przeszło sześćdziesiąt, wdowa oddawna, niegdyś bogata obywatelka, potem zubożała w skutek nieszczęść ogólnych i dziś: żyjąca w skromnej acz niezależnej mierności.

W kilka dni po zaimprovizowanej na zamiejskich wzgórzach majówce, pani Starowska siedziała w bawialnym pokoju swego małego, lecz czyściutkiego mieszkańca przy otwartym oknie, na którym rozrastały się gęsto kwitnące bzy i jaśminy ogródka. Gładka biała firanka zdobiła okno, a nad głową starej kobiety szczebiotała w klatce para kanarków.

Czarna wełniana suknia skromna, lecz bardzo starannie włożona, okrywała pochyloną nieco od wieku, ale czerstwą jej postać; śnieżnej białości czepek przykrywał siwe włosy gładko przyczesane i otaczające czoło, które mimo licznych zmarszczek jaśniało pogodą; wielkie ciemne oczy nieco zapadłe, rozumnie i z dobrocią patrzyły przez okulary w złotej oprawie.

Siedziała w staroświeckim fotelu amarantową materją obitym, a przed nią na stoliczku stał koszyczek z rozpoczętą jakąś robótką z białej bawełny, i leżała roztwarta księga Starego Testamentu.

U stóp jej na niskim stołeczku, siedziała jasnowłosa dziesięcioletnia dziewczynka, w błękitnej perkalikowej, osłaniającej ramiona sukience; rączki drobne złożyła na czarnej sukni starej kobiety, i błękitne jak niebo oczy podnosiła ku jej twarzy z dziecięcą ufnością i ciekawością.

Pani Starowska jedną rękę oparła na otwartej księdze, drugą gładząc z pieczytą włosy dziewczynki mówiła – ciągnąc dalej opowiadanie świętych dziejów:

– Tak więc moje dziecko, kiedy lud Izraelski stanął u stóp góry Synai, ten który go wyprowadził z niewoli Egipskiej i wiódł przez pustynię wstąpił na wierzchołek, i wśród grzmotów a błyskawic ogłosił ludowi dziesięć przykazań bożych...

– Tych samych dziesięć przykazań, babuniu, które ja codzień przy pacierzu powtarzam? przerwało dziecię.

– Tych samych, droga moja. Potem gdy Chrystus zstąpił na ten świat, i ogłosił na ziemi swoją świętą naukę, do przykazań tych przybyło jeszcze jedno, a obejmujące je wszystkie razem: Miłuj bliźniego twego jak siebie samego.

– Babuniu! jakżeto trzeba miłować bliźniego jak siebie samego? zaszcebiotała znowu dziewczynka.

– Miłość bliźniego, odrzekła stara kobieta, a głos jej nabrał niezmiernej słodyczy, – to, dziecko moje, nie tylko unikanie wyrządzenia jakiegokolwiek komu krzywdy na sercu, majątku lub sławie, ale jeszcze gotowość poświęcenia się za innych, do podzielenia się z ubogim wszystkim co się posiada, do przyniesienia pociechy cierpiącemu, a przebaczenia choćby najciężej grzeszącym. Miłość bliźniego, moja droga, to cała treść religji naszej, to ciągle powtarzająca się w nauce Chrystusa zwrotka; kto jej nie posiada w duszy, to jest kto krzywdzi bliźniego swego w jakikolwiek sposób, albo nie dzieli się swem mieniem z bratem ubogim, albo potępia nieodwoalnie grzesznika i cnoty przebaczenia nie zna, ten nie spełnia najwyższego przykazania bożego, i zwać się Chrześcijaninem nie godzien.

– Jak ty to ładnie mówisz babuniu, wyrzekło dziecię, zamyślane oczy podnosząc do nieba widniejącego za oknem; jakbym ja chciała kochać bliźniego tak, jak Bóg przykazał a ty opowiadasz!

Pani Starowska pełnem czułości okiem ogarnęła złotowłosą główkę dziewczynki.

– Babuniu, wyrzekła z wolna Anielka, dla czego do mnie nie stosuje się czwarte przykazanie boże. Tam powiedziano: Czcij ojca twego i matkę swoją, a ja nie mam rodziców...

Oczy pani Starowskiej posmutniały nagle, i z lekkim pomieszaniem odwróciły się od twarzy dziecka.

– Babuniu! nalegała dziewczynka z dziecięcą natarczywością, dla czego ja nie mam ojca i matki?

Stara kobieta, wyraźnie i coraz bardziej pomieszana odwróciła się, chrząknęła, i parę razy poprawiła okulary.

– Rodzice twoi umarli, Anielciu, – wyrzekła zcicha i z trudnością.

– Wiem o tem, odpowiedziała Anielka, mówiłaś mi to już nieraz. Ale dla czego oni umarli? mnie smutno że ich nie mam...

Ostatnie wyrazy wymówiła ze smutkiem w głosie, a błękitne jej oczki w niebo utkwione, drobną łzą zamigotały.

Stara kobieta spuściła na nią wzrok macierzyński prawie, położyła dłoń na jej czole, i z czułością spytała:

– Alboż ci źle ze mną Anielciu?

– O, dobrze, dobrze! babuniu najdroższa! zawołało dziecko rzucając się jej na szyję, ale moja mama była taka dobra, taka piękna... tęskno mi za nią...

– Dziecko! z przerażeniem nieledwie krzyknęła pani Starowolska, zkąd ty wiesz że taką była twoja matka?

– Śniła mi się, odpowiedziało dziecko zcicha, tuląc główkę do piersi opiekunki, śniła mi się wczoraj... Byłam w ogrodzie, mówiła dalej, położyłam się pod gruszą na murawie, i usnęłam... I zdawało mi się, że z za drzewa wyszła matka moja w białej sukni, ze światłemi długimi włosami, przyklękła obok mnie na murawie, wzięła mię na ręce, i tak mię ścisnęła, całowała i płakała... i ja płakałam i pytałam się: czemuś tak późno przyszła do mnie mam? a ona ukazała mi w stronę naszego domu, i rzekła: patrz dziecko, ojciec twój idzie! I już, już miałam ojca mego zobaczyć, gdy nagle wiatr silnie zaszumił, potrząsnął gruszą i zbudził mię... Babuniu droga – odkąd się obudziłam ze snu tego, tęskno mi za matką i za ojcem, i czuję że zawsze już tęskno mi będzie... sierocie...

Załkała cicho kryjąc twarz w fałdach czarnej sukni opiekunki.

– Biedne, opuszczone dziecko! szepnęła pani Starowolska ze smutkiem.

– Babuniu, zawołała raz jeszcze Anielka, podnosząc twarzyczkę łzami zalaną, powiedz mi jak było na imię matce mojej i ojcu memu?

Tym razem wielkie już pomieszanie ukazało się na twarzy starej kobiety. Milczała czas jakiś, pilnie poprawiając okulary, potem zwróciła się do dziecka, i rzekła żywo:

– Anielciu, idź do ogrodu, i narwij mi pęczek rezedy!

Posłuszne dziecko porwało się z miejsca, i wybiegło. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju pani Starowolskiej wszedł Edward Gaczycki.

Obojętne oczy milionowego pana mniej były w tej chwili obojętne niż zwykle, wytworna postać jego mniej wydawała się sztywną. Schylił się nawet przed panią Starowolską dość głębokim ukłonem, i z wielkiem uszanowaniem pocałował jej rękę.

– Jakże wdzięczną ci jestem, łaskawy panie, przemówiła gospodyni domu, że tak rychło pośpieszyć raczyłeś na wezwanie moje!

– Niech pani wierzy iż być jej gościem, a tembardziej stać się jej w czemkolwiek użytecznym, stanowi dla mnie prawdziwą przyjemność i zaszczyt – odpowiedział pan Gaczycki, a w głosie jego zamiast zwykłej mu suchej grzeczności, zabrzmiała serdeczna szczerłość, i wielki szacunek.

– Sprawa dla której wezwałam pana, mówiła pani Starowolska, gdy gość jej naprzeciw niej usiadł, jest dla mnie wagi wielkiej. Idzie tu o moją Anielkę, o tę biedną opuszczoną dziecinę, o której nie wiem dotąd sama czy jest w istocie sierotą.

– Masz pani we mnie najuważniejszego słuchacza, wyrzekł pan Edward, a pani Starowolska mówiła dalej.

– Nie wiem czym opowiadała panu kiedy, w jaki sposób Anielka dostała się pod moją opiekę...

– Słyszałem od innych, przerwał Gaczycki, że dziecię to zostało pani podrzucione, i że pani, przyjąwszy je niby za wnuczkę po utraczonej siostrzenicy, wychowujesz je z troskliwością prawdziwej babki.

– Tak, mówiła gospodyni domu – ośm lat temu, w pewną piękną noc majową, obudził mię słaby krzyk dziecięcia pod oknem mojej sypialni. Wyjrzałam śpiesznie, i zobaczyłam na murawie złożone kilkunastomiesięczne niemowlę – płaczące pod przykrem dotknięciem oblanej nocną rosą wysokiej trawy. Wraz ze służącą której zawołałam, wnieśliśmy dziecię do mieszkania, i między grubą a podartą bielizną która je owijała, znalazłyśmy małą kartkę z uwiadomieniem, że dziecię jest ochrzczone imieniem Anieli, ma jedenaście miesięcy, i urodziło się z niesłubnych rodziców daleko ztąd mieszkających. Żadnych więcej objaśnień nie było na tej karteczce, napisanej grubym i niekształtnym charakterem, z mnóstwem błędów ortograficznych, wyraźnie przez osobę niskiej społecznej sfery. Jak pan powiedziałeś, przyjąłam Anielkę za wnuczkę, hodowałam ją jak mogłam najtroskliwiej, aż do wczorajszego dnia będąc pewną, że pochodzenie jej zostanie nazawsze tajemnicą. Wczoraj dopiero nad wieczorem, nieznana kobieta jakaś przyniosła tu, i oddała służącej mojej dla wręczenia mi list, który chce pan przeczytać.

Mówiąc ostatnie wyrazy, pani Starowska z koszyka od roboty wyjęła niekształtnie złożony gruby arkusz zapisanego papieru, i podała go panu Gaczykiemu. Ten rozwinął pismo, i w głos przeczytał.

„Umierająca z nędzy i długiej choroby kobieta, pragnie przed tobą pani wyznać tajemnicę, która od lat sześciu ciąży na jej sumieniu. Przed sześciu laty zostało ci pani podrzucione dziecko, dziewczynka, ochrzczone imieniem Anieli, i mająca jedenaście miesięcy wieku. Pisząca te wyrazy ma do uczynienia ważne zeznania co do pochodzenia tego dziecka, stanu i nazwiska jej rodziców. Zeznania te mogą wielce wpłynąć na przyszłość dziewczynki; chce pani zatem udając się dla ich przyjęcia na ulicę N. do domu N. przywieźć z sobą jakiego wiarogodnego świadka, któryby wyznanie moje przeniósł na papier, i świadectwem swem mógł stwierdzić prawdę przed światem.”

– Podpisu niema, rzekła pani Starowska, ale charakter pisma jest ten sam, jaki był na owej kartce znalezionej wraz z Anielką.

– Pani więc życzysz sobie zapewne abym ja był tym świadkiem którego wzywa mająca czynić zeznania kobieta. Bardzo chętnie służyć pani będę.

– Po tysiąc razy dziękuje ci szanowny panie, zawołała stara kobieta wyciągając rękę do gościa swego; tegom się spodziewała po tobie! Czyż ucho godniejsze jest posłyszeć ważną tajemnicę, i czyż nazwisko wiarogodniej stwierdzi przed światem treść tej tajemnicy jeśli nie samego pana Gaczyckiego.

– Pochlebiasz mi pani w wielkiej na mnie łaskowości swojej, wymówił pan Edward z ukłonem.

– Stara jestem i niezdolna mówić nieprawdy, odpowiedziała z powagą pani Starowska – ale wierz mi pan, że nauczyłam się szczerze cię szanować od owej pamiętnej dla mnie historii z tą umierającą z głodu rodziną, którą pan podźwignąłeś z nędzy i upodlenia...

Po białych policzkach pana Edwarda przemknął rumieniec lekki.

– Nie mówmy pani o tem; to był fakt tak prosty! Pani wzięłaś mię tylko do spótki w swych dobrych czynach.

– I z radością wyznaję że jesteś pan dobrym spółnikiem, i dzielnie mi pomagasz. Ale ponieważ zaczęliśmy mówić o tem, mam prosić pana o podanie mi pomocy jeszcze w jednym względzie.

Pan Edward skłonił się uprzejmie.

– Wiesz pan o tem, że mam fundusz bardzo mierny, lubo zupełnie wystarczający na me skromne potrzeby. Lecz zaspokojenie potrzeb własnych, toć nie wszystko jeszcze! tyle jest biedy ludzkiej w około, a tak mało mogę jej przyjść z pomocą! Otóż wpadłam na pewien pomysł. Zostały mi dotąd przechowane jako pamiątka pewne klejnoty rodzinne, które, zdaje mi się, muszą mieć znaczną wartość. Postanowiłam je spieniężyć – i lubo nie bez przykrości rozstanę się z przedmiotami które uważałam dotąd za pamiątkowe i święte, ale zato ze sprzedaży ich utworzy się choć mały kapitalik

dla moich biednych, z którego czerpać będą mogli po trochu. Chcę więc prosić cię łaskawy panie abyś zajął się spieniężeniem przedmiotów o których mówię... Mnie starą mogliby kupcy oszukać, a na tem straciliby moi biedni... Przebacz pan jeśli go zbyt utrudzam...

Kończąc swe słowa stara kobieta patrzyła na swego gościa z rodzajem nieśmiałości, ale obojętne oczy pana Edwarda stawały się coraz mniej obojętne. Skłonił się znów, i rzekł niemal z zapałem:

– Daj mi pani jakie zlecenie do Abissynji albo Indij wschodnich, a pojedę aby jej usłużyć!

Pani Starowolska powstała, wyraźnie ucieszona, przeszła do swej sypialni, i niebawem wróciła niosąc parę safjanowych pudełek. Edward otworzył je, i ujrzał w jednym cenny pierścień z wielkim soliterem, w drugim broszę i kolce szmaragdowe, w staroświeckiej oprawie, i przyozdobione dość dużymi brylantami.

– To śliczne i cenne są rzeczy! wyrzekł pan Gaczycki, pani weźmiesz za nie znaczną summę!

– Doprawdy! o jakżem rada! zawołała pani Starowolska; lubo z innej strony, dodała po lekkim wahaniu się, są to przedmioty na których, lubo ich nie używałam oddawna, wzrok mój lubił zatrzymywać się często. Promienie tych dyamentów były niby łańcuchy przywodzące ku mnie wspomnienia chwil dawno ubiegłych, porannych mego życia. Kolce te i broszę otrzymałam z rąk mojej matki w dniu, gdy po raz pierwszy w świat występowałam; ona miała je dane sobie przez babkę moją w tenże sam sposób. Pierścień zaś z soliterem ofiarował mi narzeczony, później mąż mój, w przeddzień ślubu naszego. I wyznam panu, że ile razy w podeszłych już latach patrzyłam na brylant ten, zawsze przed oczami memi stawała szlachetna twarz człowieka, który był jedyną miłością mego serca... Miałam niegdyś córkę jedynaczkę, i marzyłam, że kiedyś włożę jej na palec pierścień ojcowski wtedy, gdy włos jej ślubnym będę wieńczyła kwieciami. Umarła... Anielka sierota – klejnotów nie potrzebuje. Niech więc pamiątka moja najdroższa posłuży za wsparcie niedoli bliźniego.

Przestała mówić, i w oczach jej podniesionych w górę błysnęła powstrzymywana łza.

Oczy zaś patrzącego na nią pana Edwarda przestały całkiem być obojętne, i zamgliły się szczerem uwielbieniem.

– I nie jednego bliźniego niedolę wesprzesz pani tą ofiarą swoją, wymówił; bo jestem pewny, że przedmioty te sprzedadzą się drogo – naprzód dla tego, że same przez się piękne i cenne, a potem staroświeckie klejnoty właśnie wchodzą w modę. Pozwolisz pani, dodał z nowym a głębokim ukłonem, abym do summy otrzymanej przez panią ze sprzedaży jej dyamentów, dołączył ze swej strony drugą podobną summę, i abyśmy tym sposobem utworzyli kapitał, którym będziemy obracali wspólnie na korzyść bliźnich...

Pani Starowolska z serdeczną czułością popatrzyła na swego gościa.

– Nie mam prawa odrzucać podobnej współki, wyrzekła.

– Pani lubisz przede wszystkim wspierać doraźnie niedolę ludzką, ciągnął pan Edward; ja zaś patrzę w przyszłość, i pragnę chronić od nieszczęść młode pokolenie, oświatą. Będziemy więc wynajdywali rodziny potrzebujące naszych wspierających dłoni; pani będziesz od nędzy i moralnego upodlenia ratowała starych i niedołącznych – ja młodym źródła oświaty otworzę...

Dziwnie wypiękniata i wyszlachetniata twarz pana Gaczyckiego, gdy to mówił; wydawał się innym zupełnie człowiekiem. Nie był już sztywnym, ani dumnym, ani obojętnym – i można było patrząc nań wtedy odgadnąć, iż wypowiadał myśli swe o tem, co wedle słów jego, wyrzeczonych do Wandy w czasie przechadzki: „Posiadało wartość gruntowną i niezmienną, bo było ukochaniem z myślą rozumną i celem świadomym siebie”.

Pani Starowolska podała mu obie ręce w milczeniu, on ucałował je z synowską czułością.

– A teraz, rzekła gospodyni domu, pójdźmy zacy panie do tej nieszczęśliwej, która nas wzywa.

– A raczej pojedźmy, rzekł pan Edward; powóz mój stoi przed bramą pani mieszkania, i czeka na jej rozkazy.

Byli już u progu, gdy z pękiem rezedy w rączkach wbiegła do pokoju Anielka.

– Babuniu droga! zawołała czepiając się sukni opiekunki, przebacz żem bawiła tak długo w ogrodzie.

Pani Starowska pocałowała ją w czoło.

– Weź książeczkę Anielciu, którą ci wczoraj dałam, i czytaj póki nie wrócę.

– Dobrze, babuniu, odrzekło dziecię, wezmę książeczkę i pójdę do ogrodu pod gruszkę; poczytam trochę, a potem zamknę oczy i postaram się zasnąć, może mi znowu mama się przyśni!...

X

W parę godzin potem na ustronny dziedziniec pani Strowolskiej zajechał piękny powóz pana Edwarda, a właściciel jego wyskoczywszy, pierwszy pomógł z uszanowaniem wysiąść zeń starej kobiecie.

Potem oboje weszli do mieszkania, i oboje mieli twarze poważne i bardzo zamyślane.

Pani Starowolska usiadła na swym staroświeckim fotelu, wzrokiem pełnym pytania wpatrzyła się w twarz gościa swego, i pierwsza wyrzekła:

– Ktoby się tego spodziewał! Któżby się był tego spodziewał?

Pan Edward zatrzymał się przed nią; uśmiech ironji zawisł mu na ustach, które znów obojętne były.

– Co do mnie, łaskawa pani, – rzekł, odkrycie jakie uczyniła nam nieszczęśliwa kobieta, nie zdziwiło mię bynajmniej. Mam zawsze w silnym podejrzeniu ludzi zbyt wiele mówiących o cnotcie; a pod ciągle spuszczać się skromnie powiekami kobiety, szczególnie, gdy ta nie jest już młodziuchną panienką, skory jestem do podejrzewania jakiej ukrywającej się, a nie zbyt czystej tajemnicy terażniejszej lub przeszłej.

– Wprawdzie, mówiła pani Starowolska, słyszałam ja o niej i wprzódy to i owo – ale jako nie rada słuchać plotek i obmów, puszczałam to mimo uszu. Zresztą ta surowość sądów jej o innych młodych kobietach, to nieustanne wielbienie i zalecanie skromności jako cnoty najwyższej, wydawała mi się niepodobnem do udania.

– A we mnie, odrzekł pan Edward, to wszystko właśnie wzbudzało podejrzenie, że ta kobieta musiała koniecznie wykroczyć kiedyś sama przeciw tej skromności, którą tak gorliwie innym zaleca. Bądź co bądź, dodał, staliśmy się dziś panami tajemnicy ważnej dla opuszczonego dziecka, i należy nam dobrze zastanowić się nad tem, czy mamy z niej zrobić użytek.

– Jakimby on mógł być, nie widzę – odpowiedziała kobieta; matka jej widocznie bez serca, boć dawno wie o istnieniu tu swego dziecka, i nigdy się o nie nie zatroszczyła. Ojciec jest zbyt swobodnych obyczajów i lekkiego charakteru człowiekiem, by mógł...

– Nie jest on tak lekki i zepsuty jakim się być zdaje; i przypuszczam, że gdyby wiedział...

Zaczął Edward, ale nie dokończył, bo otworzyły się drzwi szeroko, i naiwnym, drobnym krokiem wbiegła przez nie pani Teresa Rokowiczowa. Tym razem ubrana była w dziewiczej prostoty sukienkę z białego muslinu, i ten sam co wprzódy niewinny pęczek fijołków tkwił na jej kapeluszu. Słodziuchna i uśmiechniona witała gospodynię domu, na której poważnej twarzy pojawił się wyraz pewnego zmieszania, połączonego z niesmakiem. Nagle spostrzegła przybyłą stojącego nieco opodal pana Gaczyckiego; spuściła oczy i oddała mu naiwny panieński ukłon. Pan Edward odklonił się ze sztywną grzecznością, w mgnieniu oka stał się zimnym, dumnym i obojętnym, jakim okazywał się zwykle.

– Jakże dawno nie widziałam szanownej i kochanej pani, wyrzekła z przymileniem pani Teresa do gospodyni domu; trzeba było abym bardzo i niezmiernie pragnęła ją widzieć, kiedym aż wyszła na miasto bez mego Felunia!

– Państwo jesteście jak owe ptaszki nierozłączne, istniejące w podzwrotnikowych krajach, które bez siebie jednej chwili żyć nie mogą – z lekką ironją wyrzekł pan Edward.

Pani Teresa znowu spuściła oczy.

– O tak, szepnęła zcicha, kochamy się! Felunio mój jest jedynym człowiekiem jakiego kiedy kochałam! pierwsza to i ostatnia miłość mego życia!

Pani Starowolska i gość jej zamienili między sobą dziwne spojrzenia; wysoki niesmak był w oczach kobiety – oczy mężczyzny błysnęły ironją.

– A zresztą, kończyła pani Teresa, czyliż przyzwoitem jest, aby mężatka chodziła po mieście z wizytami bez męża! – ja znajduję, że to się rozmija ze skromnością...

– Która jest najpiękniejszą ozdobą kobiety, dokończył ze sztywnym ukłonem pan Edward.

– Tak, potwierdziła wzorowa małżonka – i trzeba tylko całego mego przywiązania i szacunku jaki mam dla pani (tu zwróciła się do gospodyni domu), abym odważyła się rozminąć z memi zasadami i wyjść na miasto – tem bardziej z wizytą, bez mego Felunia.

Pani Starowolska dziwnie się jakoś i przymuszenie uśmiechnęła; miała coś powiedzieć, gdy otworzyły się cichutko drzwi, i na progu zabrzmiało pozdrowienie pobożne:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Do pokoju weszła pani Apolonja Kuderska ze swemi dwoma krzyżami na rękę i piersi, i w swoim wieczystym czepku o fijołkowych wstęgach.

Pan Gaczycki ujął kapelusz, pożegnał gospodynię domu i sztywnie skłoniwszy się dwom innym kobietom, wyszedł.

– Co za sztywny i niemiły człowiek, wyrzekła pani Teresa po odejściu pana Edwarda i odbytych powitaniach z Kuderską.

– Egoista i bez serca, dorzuciła pani Apolonja; nie widziałam nigdy, aby grosz dał ubogiemu na ulicy!

– Nie należy sądzić z pozorów, z zimną powagą rzekła gospodyni; pan Gaczycki nie jest wcale takim za jakiego panie go macie.

– Oj, już że nie nabożny i żadnej religii niema, za to ręczę, zawołała Antyfona; nigdy prawie nie widuję go w kościele.

– A przytem niemoralny, dodała pani Teresa, kompromituje młode panny, i ułatwia im schadзки z żonatymi ludźmi.

– Co teżto panie wygadujecie! zawołała z wyraźnem niezadowoleniem pani Starowolska.

– Ale tak, tak, kochana pani, żywo odpowiedziała Kuderska. Przed kilku dniami widziałam na własne oczy, jak w czasie majówki za miastem poprowadził pannę Rodowską w głąb lasu, aby tam mogła się spotkać z panem Augustem Przybyckim, który jest przecie człowiekiem żonatym. Wracali potem razem we troje... Oj, coto za świat teraz! zgorzenie tylko i obraza Pana Boga!

– Cóżto za nowa historia wymyślona na tę dobrą i śliczną Wandę? – z żywszem jeszcze niezadowoleniem wyrzekła pani Starowolska.

– Niech mię Pan Bóg strzeże i broni od obmowy i odbierania sławy bliźniemu, żywo odparła Apolonja; ale co prawda to prawda! kochana Wandzieczka najdobrowolniej gubi się takim postępowaniem! żonaty bałamucić! to obraza boska!

– I nieskromność! dorzuciła pani Teresa.

– Widziałam wczoraj na własne oczy, prawda dalej Apolonja, że pan August Przybycki szedł do ich mieszkania na pierwsze piętro. Widać że zaczął już u nich bywać! potrzebne to żonatemu człowiekowi? Oj, ci żonaci, żonaci! niech im Bóg ciężkie grzechy...

– Mój Felunio, przerwała pani Teresa, słyshał wczoraj wracając z przechadzki, muzykę na cztery ręce w mieszkaniu pani Rodowskiej; zatrzymał się tedy i zobaczył, jak gdy muzyka ucichła, panna Wanda stanęła w otwartem oknie z panem Przybyckim...

– Boże najwyższy! tak się publikować z żonatym człowiekiem! zawołała i splasnęła rękami Apolonja.

– I dopuszczać się takich nieskromności młodej pannie! jęknęła Teresa.

Pani Starowolska słuchała rozmowy dwóch kobiet w milczeniu z za okularów przesuwając po ich twarzach wzrok niedowierzający. Przy ostatnich jednak wyrazach pani Teresy, oczy jej zabłyśły, i stały się surowe. Podniosła głowę poważnym ruchem, i z odcieniem surowości w głosie wyrzekła:

– Moje kochane panie, przesadzacie ważność opowiadanych mi faktów, i niesłusznie krzywdzicie sławę dobrej i ślicznej panny, którą znam z najlepszej strony. Że w tym domu w którym ona mieszka ze swą matką, bywa ktoś tam żonaty, że z tym żonatym grywa ona na cztery ręce, i stoi przy otwartem oknie, sąto rzeczy bardzo zwyczajne, i w których umyślnie tylko dopatrzeć można coś złego. Nieskromności zaś niewłaściwej młodej pannie w tem wszystkiem nie widzę – a wiem że

zdarzają się wypadki daleko gorsze, które się jednak bardzo zręcznie ukrywają. Kto z nas bez grzechu moje panie, niech rzuci kamień!

Przy ostatnich wyrazach mówiąca utkwiała w twarzy pani Teresy wzrok przenikliwy i surowy. Obronicielka skromności kobiecej spuściła oczy jakby wzroku tego znieść nie mogła, i ledwie dostrzegalny rumieniec przemknął po jej czole. Nie straciła jednak rezonu, i powstając rzekła zwykłym sobie słodziuchnym głosem:

– Pozwól pani abym przeszła się po jej ogródku, i zobaczyła jej śliczne kwiaty które tak lubię.

Pani Starowska skłoniła głowę z chłodną uprzejmością.

– Przebacz pani że jej towarzyszyć nie będę, bo chodziłam dziś po mieście, i zmęczoną się czuję.

– O, niech pani nie zadaje sobie fatygi dla mnie, słodziuchno zawołała Teresa; z uniżonością niemal pocałowała w ramię starą kobietę, i zniknęła za szklannymi drzwiami wychodzącymi z bawialnego pokoju na ogródek.

– Niech mię Bóg strzeże i broni od obmowy albo odbierania sławy bliźniemu, zaczęła po wyjściu Rokowiczowej Apolonja, i ciągnęła dalej rozpoczętą rozmowę, komunikując – rozmaite miejskie wiadomości pani Starowskiej, słuchającej z obojętnością, niekiedy z niezadowoleniem.

Tymczasem Teresa czując się uwolnioną od przenikliwego i surowego wzroku starej kobiety, odetchnęła pełną piersią, ale zarazem oczy jej błysnęły gniewem, i zamigotały obawą.

Spuściła głowę na piersi.

– Ona wie o wszystkim! szepnęła, jestem pewna że ona wie o wszystkim! Ta nieznośna stara kobieta! wyraźnie dała mi to dziś do zrozumienia! gdyby przynajmniej nie powiadała o tem nikomu...

Wzdrygnęła się.

– Och, jak się tego lękam... nie przeżyłabym chwili w którejby świat przypomniał sobie... tak przypomniał – bo dawniej wiedzieli o tem niektórzy, ale...

Uśmiechnęła się z tryumfem.

– Potrafiłam rzucić na przeszłość zasłonę... a gdyby doszło co do Feliksa...

Uśmiechnęła się z ironją.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.